KONSTANCYA GERARDI.

KONSTANCYA GERARDI

POWIEŚĆ

LUDWIKA GUALDO

przełożył z włoskiego

Edward Sulicki.

TOM I.

WARSZAWA.

WYDAWNICTWO MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1877.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Февраля 1877 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20

ROZDZIAŁ I.

Ekonom Jan i jego rodzina właśnie wstawali od stołu w małej izbie na dole, gdy drzwi się otworzyły i rządca dóbr, pan Binetti ukazał się na progu i zawołał:

— Panie Janie!

Ekonom, miły tłuściutki staruszek z białemi jak śnieg włosami i pulchną rumianą twarzą, spiesznie postąpił ku drzwiom i zdjął z głowy aksamitną czapeczkę którą zwykle w mieszkaniu nosił.

— Panie Janie, powtórzył rządca, jutro przyjeżdża pan margrabia. Pamiętajcie żeby wszystko było w porządku. Ja już kazałem pookurzać sprzęty w pałacu, wy zajmijcie się tem co do was należy.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił rumianą twarz ekonoma, gdy zabierał się do odpowiedzi; ale rządca nie czekając na nią, spiesznie odszedł.

Lubo jego słowa zwrócone były tylko do ekonoma, to jednak powiedziane były tak głośno, że wszyscy mogli je słyszeć; gdy więc odszedł, rozpoczęły się zaraz pytania i odpowiedzi, wykrzykniki i znaki zdziwienia i radości, z których łatwo wnieść było można, że przyjazd margrabiego nie musiał być wypadkiem bardzo pospolitym. Zapewne nawet wiele lat upłynęło od czasu jak go ostatni raz widziano, bo właśnie wszczął się spór o to „ile też panicz może mieć lat teraz“. Czyniono wszelakie przypuszczenia o tem jak margrabia wygląda, jak się ubiera i nadewszystko jak też długo na wsi zabawi.

— Możecie być pewni, rzekł stary Jan z powagą niedopuszczającą powątpiewania, możecie być pewni że długo tu nie posiedzi. Na wsi wszystkiego braknie wielkim panom. Żebyć przynajmniej miał poczciwy zwyczaj zaglądać do nas choćby czasami! Jakże rad będę go zobaczyć! Może już nie przypomina mnie sobie, a przecie stary Jan tyle razy huśtał go na swoich kolanach!...

— Albo i mnie, dodała ekonomowa, co zawsze wybierałam dla niego najładniejsze jabłka z sadu!

— A ja, odezwał się syn najstarszy, duży chłopak z rumieńcami zapowiadającemi że będzie z czasem tak czerwony jak ojciec: a ja byłem jeszcze bardzo mały kiedym go ostatni raz widział Musi być znacznie odemnie starszy! Pamiętam, że przyjechał z jakimś jegomością czarno ubranym.

— Ze swoim dyrektorem, objaśnił ekonom; ale ja tych odwiedzin nie liczę! A i od nich, Boże łaskawy, ile to lat już upłynęło! Przyjechał z rana, chodził po wsi, rozglądał się wszędy; ale ten dyrektor, czy tam pan professor jak go nazywano, nie odstępował go ani na krok i odjechali nazajutrz i ja nie mogłem ani dwóch słów przemówić do pa-

nicza, chociaż miałem wielką ochotę! A chociaż już nie był dzieckiem, z pewnością gdyby nie ten nieodstępny dyrektor, wycałowałbym go w oba policzki, jak onego czasu kiedy malec rad biegał ze mną na pola i łąki. Gdy odjeżdżając wsiadał do powozu, zebraliśmy się wszyscy koło niego mówiąc z pożegnaniem: Do widzenia, drogi margrabiczu! Niechaj panicz prędko do nas wróci! A on nieboraczek nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na swego dyrektora, a ten skrzywił się brzydko a nibyto miał się uśmiechnąć, i rzekł;—No, no, bądźcie spokojni, powrócimy!—Patrzajcie go! Po co on tu wścibił swoje trzy grosze? Albo my to do niego mówili? Dla czego nie dał chłopcu odpowiedzieć? I powóz się oddalił.

— Musi teraz być słusznym mężczyzną!

— Ma się rozumieć, i zapewne bardzo się zmienił. A jednak choćby między stu osobami, zarazbym go poznał. Ma oczy biednej swojej matki. Zacna pani, jak go kochała! Smutno pomyśleć, że Pan Bóg nie dał jej doczekać pociechy z dorosłego syna!...

I ekonom wpadłszy na ulubiony przedmiot rozmowy, długo gadał o biednej margrabinie; a potem jeszcze i nadewszystko o paniczu który miał jutro przyjechać i o wielu innych rzeczach, i tak rozprawiając często białem winem zwilżał gardło.

Wiadomość szybko się rozeszła, i w pół godziny później wiedziano już w całych dobrach, że pan przyjedzie, i wszyscy wieśniacy byli w ogóle zadowoleni i zarazem ciekawi. Stary Jan przerwał sobie gawędę, i poszedł do stajen i do gumien dojrzeć żeby wszystko było w należytym porządku; rządca Binetti ze swej strony był nadzwyczajnie zajęty, biegał tu i owdzie, wydawał rozkazy krótkie i pospieszne, przesadzając ważność swoich czynności, jak to można by-

ło poznać spojrzawszy na jego podłużną na wierzchu głowy łysinę, na żywe oczki widzące wszystko przez złote okulary, na czoło które się ciągle marszczyło jakby pod natłokiem myśli, i w ogóle na całą tę fizyonomię poczciwego pedanta zadowolonego z siebie.

Następnego dnia około piątej po południu rozległ się turkot kół i po chwili powóz podróżny zatrzymał się na dziedzińcu przed żelaznemi kratami bramy. Binetti, ekonom i kilku służących pobiegli do bramy.

— Witam pana margrabiego, zawołał rządca otwierając drzwiczki powozu. Może sobie pan margrabia wyobrazić jak mię uszczęśliwia jego widok. Wczoraj w południe otrzymałem list pański i natychmiast przygotowałem wszystko na przyjęcie pana margrabi

Gdy tak mówił rządca, margrabia wysiadł z powozu i rzeł nieco roztargniony:

— Dziękuję ci, panie Binetti. Jak się miewasz?

— Zdrów do usług pańskich. A pan margrabia?

— Dziękuję, zdrów także.

I spojrzawszy w tej chwili na ekonoma który wytrzeszczył oczy i ze zdumieniem mu się przypatrywał, wesoło zawołał:

— A! Otóż i mój poczciwy Jan! Jak się macie, mój stary; czy przypominacie mię sobie?

— Czy przypominam! odparł ekonom. A to piękne! Jakżebym mógł zapomnieć. Ale mi panicz wyrósł na ślicznego mężczyznę! Doprawdy, nie poznałbym panicza.

— Widzicie, a ja was zaraz poznałem; nie zmieniliśmy się wcale.

I tak mówiąc, zwolna przeszedł dziedziniec w towarzystwie rządcy i ekonoma którzy go rozpytywali o szczegóły podróży.

Młody margrabia był rzeczywiście bardzo ładnym mężczyzną: wysoki i kształtny, miał ruchy i obejście wytworne, lubo nieco niedbałe, oczy niebieskie pełne wyrazu, rysy twarzy piękne, nos śliczny z nieznaczną orlą wypukłością, cerę białą, wąsy i brodę jaśniejszą od włosów dość ciemnych i wreszcie w całej osobie coś mimowolnie dumnego i pańskiego.

Długo rozmawiał ze starym Janem, który nie posiadając się z radości, zaprowadził go do najładniejszego w całym pałacu pokoju, z którego okien otwartych widać było wspaniałe dalekich gór zarysy.

Około wpół do siódmej wieczorem dano znać że obiad gotowy. Sala jadalna wyglądała dość smutnie przy wypłowiałych różnobarwnych obiciach. Na stole były nakrycia dla dwóch osób, bo rządca Binetti został zaproszony. I w istocie wszedł prawie współcześnie ze swoim amfitryonem, trzymając w ręku sporą plikę papierów, które złożył na krześle przy drzwiach.

— Jakże apetyt margrabiego Ryszarda? wesoło zapytał rządca. Czy wiejskie powietrze już go zaostrzyło?

— Tak mi się zdaje, odpowiedział Ryszard. Mam wilczy apetyt. A pan?

— Wyśmienity!

I w rzeczy samej musieli być obaj porządnie głodni, bo przez dziesięć minut słychać było tylko brzęk łyżek, widelców i noży.

Potem zawiązała się znowu rozmowa, lubo nie bardzo ożywiona. Pod koniec jednak obiadu przy wetach i drugiej butelce wina, gdy Ryszard kazał odejść pokojowcowi który usługiwał do stołu, Binetti spełniwszy duszkiem zdrowie pana domu, wsparł się na poręczach krzesła i tak mówić zaczął:

— Pan margrabia doskonale zrobił że przyjechał. Jak to mówią: oko pańskie konia tuczy, a tu właśnie oddawna czuć się daje brak tego oka; obecność pańska stała się prawdziwie konieczną. Wprawdzie robię co tylko mogę, są jednak pewne rzeczy w których nie można nic postanowić bez pańskiego rozporządzenia, a trudno rozporządzać, gdy się nie zobaczy wszystkiego na własne oczy. Kiedy już pan margrabia przyjechał, upraszam go najusilniej, aby raczył czas pewien pozostać. Konieczne są liczne reparacye i zupełnie nowe zabudowania, pewne ulepszenia także-by się bardzo przydały; sam jednak nie śmiem brać na siebib odpowiedzialności za ich wykonanie. *Errare humanum est*; mógłbym się pomylić i potem wyrzucałbym sobie, żem działał sam, mając tylko piśmienne upoważnienie pańskie. Gdy przeciwnie pan margrabia wszystko obejrzy i moich projektów wysłucha, gdy powie co czynić należy, naówczas uczyni się wszystko z doskonałą znajomością rzeczy. Jestem bardzo wdzięczny za zaufanie jakie we mnie pan margrabia pokłada, nie chciałbym jednak brać wszystkiego na swoją odpowiedzialność.

— Dobrze, no dobrze, panie Binetti. Posiedzę tu przez czas nieodzownie potrzebny i zajmiemy się wszystkiem. A ów sławny proces z zarządem kościelnym?

— Właśnie o nim chciałem teraz mówić. I w tej sprawie obecność pana margrabi jest nieodzownie potrzebną. Wie pan aż nadto dobrze, od jak dawna trwa ten proces, ile to już wydało się na niego pieniędzy, a jednak jeszcze wszystko jest niepewne. Obecnie niepewność bardziej się powiększyła. Co począć? Mamyż zaproponować sami układ polubowny, któregośmy przyjąć tyle razy odmawiali? Godność nasza na to nie pozwala. Zaniechać zaś procesu—byłoby niejako przyznaniem żeśmy nie mieli racyi,

a przytem byłoby to straceniem bezpowrotnem tylu wydanych już pieniędzy...

— Więc processować się dalej, przerwał Ryszard.

— Procesować się dalej? A czy wie pan margrabia, że ten proces ze dwadzieścia lat jeszcze potrwać może? I jak powiedziałem, rezultat jest bardzo wątptiwy, chociaż prawo i słuszność są z pewnością po naszej stronie. Ci panowie zarządu kościelnego są tak uparci, że nigdy nie dojdzie się z nimi do ładu...

Binetti zapalał się; był on trochę wolteryaninem i zdawało mu się że przy każdej zdarzonej sposobności należy pokazać, iż pomimo łysiny i okularów ma umysł jeszcze młodzieńczy i zawsze dla wszystkich idei nowoczesnych otwarty...

— W tej plice papierów, odezwał się Ryszard wskazując na krzesło przy drzwiach, zapewne są jakie dokumenty dotyczące procesu?

— Tak jest, są prawie wszystkie.

— Zajrzyjmy do nich.

I kazawszy podać lampę, zabrali się do wertowania i oceniania wszystkich kolejno papierów; jak często się jednak zdarza, nie mogli się na nic stanowczego zdecydować, i w końcu osądzili, że najlepiej będzie odłożyć na później postanowienie ostateczne, a tymczasem dojrzale się nad całą sprawą zastanowić.

Duża sala jadalna, prawie ciemna, bo słabo oświecona lampą której światło padało na twarze dwóch ludzi zajętych czytaniem i rozprawianiem, przedstawiała ładny obrazek rodzajowy. Zdolny malarz umiałby uwydatnić przeciwieństwo między wielce zajętą, pedancko namarszczoną i prozaiczną twarzą pana Binetti a piękną, rozumną i nieco marzycielską fizyonomią młodego margrabi.

I rozprawiali tak i czytali do dziesiątej, aż w końcu Ryszard nie mógł dłużej oprzeć się nudom, i udając senność rzekł do rządcy:

— Kochany pani Binetti, na dziś chyba tego wystarczy. Pójdę spać. Zostawmy resztę do jutra. Postanowiłem pozostać tu tak długo jak tego konieczna wymagać będzie potrzeba; możemy więc wszystko zwolna załatwić.

— Pan margrabia ma słuszność. Nie ma nic nagłego, skoro pan dłużej tu zabawi. Pojmuję, że przyzwyczajony do wszelkich rozrywek, pan margrabia okropnie się znudzi w tej samotności; ale za to raz zakończymy niemiłe sprawy.

— Przyznam się, że wołałbym już częściej przejeżdżać, byle na krótko. Samotność tu w istocie trochę za zupełna.

— Jeśliby jednak pan margrabia sobie życzył, to znalazłoby się i tu jakie takie towarzystwo. Możnaby zaprosić lekarza, oficera żandarmeryi...

— A niech mię Bóg broni! Nie, daleko bardziej już wolę twoje towarzystwo, panie Binetti.

— Jestto dla mnie zaszczytem, panie margrabio.

I to powiedziawszy życzyli sobie wzajem dobrej nocy i rozeszli się różnemi schodami, każdy do swego pokoju.

Rozbierając się Ryszard ze zgrozą myślał o nudach jakie go czekały. Spać mu się nie chciało, a nie wiedział co robić. Zabrał się do czytania, ale książka wydała mu się nudną i głupią. Rzucił więc ją, i założywszy na krzyż ręce pod głową na poduszce, myślał o różnych rzeczach przykrych i zabawnych, poważnych i wesołych, a twarz jego to chmurzyła się to rozjaśniała, i lekki uśmiech igrał niekiedy na ustach.

W końcu zasnął i nie obudził się jak późnym porankiem, gdy już słońce żywo oświecało jego pokój, który teraz nagle wydał mu się wesoły i sympatyczny, chociaż poprzedniego wieczora dostrzegał w nim coś posępnego i smutnego. Był to pokój obszerny z niewielu sprzętami, z obiciem i portyerą w różowe kwiaty, z pięknym widokiem z okien, i ozdobiony kilku szacownemi rycinami angielskiemi. Kufry podróżne stały już puste, pokojowiec starannie poustawiał przedmioty tualetowe i różne drobiazgi bez których młody margrabia nie mógł się obywać. Nagle przypomniał sobie nudy które podczas długiego i przyjemnego snu zniknęły. Westchnął, ziewnął kilka razy i spojrzawszy na zegarek spostrzegł, że zbliżała się fatalna godzina nowych konferencyi, i że Binetti zapewne już na niego czeka. Rozpoczynający się dzień wydawał mu się niby step długi jednostajny, bez drzew, bez rozmaitości. bez życia. I pomyślał że tego wieczora pewnie nie będzie mu się chciało spać, i co wtedy pocznie?

I powziął heroiczne postanowienie: wyskoczył z łóżka ubrał się, otworzył okno, spojrzał na pogodne niebo, potem na ogród zmieniony trochę podczas jego nieobecności. potem zwolna zstępując ze schodów wszedł do sali jadalnej, gdzie zastał już rządcę który niecierpliwie oczekiwał go ze śniadaniem.

Po śniadaniu zaczęli znowu rozmawiać o interesach chodząc po domu i po ogrodzie. Dom ten pałacem zwany, właściwie nie był ani pałacem ani zamkiem: był to sobie dwór szlachecki obszerny, podłużny, biało malowany, który z daleka wyglądał dość okazale, a zbliska nie miał nic powabnego. Wewnątrz dworu był nieład: ale pokoje przystrojone były z wiejską elegancyą; pokoje na dole wesołe, szczególniej zaś podobać się mogła sala bilardowa

w lewym rogu, z której czterech okien można było widzieć cały ogród bardzo porządnie utrzymany, chociaż bez zbytku kwiatów i klombów, ale ocieniony rozłożystemi drzewami, które w lecie miły chłód utrzymywały. W ogóle było to mieszkanie obszerne i wygodne, chociaż nie zbytkowne ani wykwintne; za to na około dworu ciągnęły się wspaniałe lasy, żyzne błonia, pola i łąki które w latach urodzajnych przynosiły do sta tysiecy franków czystego na rok dochodu. Ryszard mieszkał tu stale tylko w dziecinnych latach, później młodzieniaszkiem będąc wrócił raz tylko na jeden dzień z nauczycielem który się tak staremu Janowi nie podobał, i można powiedziać, że nic prawie nie przypominał sobie rodzinnego domu. Teraz więc z upodobaniem właściciela zaglądał wszędzie, od piwnic do poddasza, obejrzał wszystkie kąty ogrodu i sadu, potem zajrzał do oficyny ekonoma, gdzie go przyjęto jak monarchę zwiedzającego swoje państwo, w końcu poszedł z ekonomem do obszernego budynku, który mógłby wygodnie być użyty na ujeżdżalnię dla kawaleryi, a służył do skromniejszego lecz korzystniejszego użytku: był spichrzem, ale spichrzem dobrze naładowanym. A potem, zawsze w towarzystwie rządcy i ekonoma, zwiedził chaty i zabudowania gospodarskie, czeladzi i czynszowników, które w rzeczy samej wymagały nie tylko naprawy ale i zupełnego przebudowania.

Mimo te zajęcia, godziny płynęły z powolnością nadzwyczajną. Ryszard wciąż sobie myślał, że dzień ten nigdy się nie skończy. Binetti jednak był niestrudzony, od jednego przedmiotu rozmowy przechodził do drugiego, od jednej kwestyi nudnej do drugiej jeszcze nudniejszej, a o wszystkiem prawił z głębokiem namaszczeniem i niezachwianą powagą.

W końcu nadeszła obiadowa pora: z nudów jadło się dużo i bezmyślnie jak poprzedniego dnia; po obiedzie mówiono znów o processie z zarządem kościelnym, potem życzono sobie znów dobrej nocy. Ryszard znękany bardziej niż kiedykolwiek wrócił do swego pokoju.

Upłynęło tak dni kilka podobnych do siebie jak dwie krople wody. Jednostajność wciąż wzrastała. Ryszard seryo już rozmyślał o tem, jakby znienacka uciec i w ten sposób na długo się uwolnić od pana Binetti i jego gadanin o processie z zarządem kościelnym i o innych rzeczach równie nudnych. Tą właśnie myślą głęboko zajęty przechadzał się jednego dnia w cienistej alei nie zważając na krople deszczu który padać zaczynał. Szedł zwolna, z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową myśląc o mnóstwie rzeczy któreby mógł teraz czynić, gdyby był gdzieindziej. Nudy trapiły go bardziej niż kiedykolwiek; myśl że będzie zmuszony pozostać na wsi jeszcze z jaki tydzień gnębiła go srodze; w ciągu tych dni jednostajnych miał połowę czasu zajmować się nudnemi sprawami, drugą połowę przepędzać w samotności, rozmawiać ze starym Janem, jeść obiad z Binettim i potem z rozpaczy kłaść się znów do łóżka. I myślał o tych wszystkich nie zbyt miłych rzeczach, gdy podniosłszy oczy zobaczyło jakie dwadzieścia kroków idącą naprzeciw osobę, która zdawała mu się być znajomą. Zbliżając się, Ryszard baczniej się jej przypatrywał.

Był to człowieczek nizki, chudy, w czarnem ubraniu i w dużym pilśniowym kapeluszu popielatym. Zdawał się mieć lat pięćdziesiąt kilka, około sześćdziesięciu. Długa szpakowata szpiczasto zakończona hiszpańska bródka i rozstrzępione tejże barwy faworyty czyniły tę twarz jeszcze chudszą; mnóstwo było na niej zmarszczek a z pod

gęstych i ściągniętych brwi błyszczały oczy bardzo żywe w których zdawały się migotać błyskawice.

Nakoniec Ryszard go poznał. Był to malarz z wielkim talentem, nazwiskiem Gerardi, z którym często się spotykał w domach wspólnych przyjaciół. Spostrzegłszy go z kolei malarz, wielce się zdziwił i zawołał:

— Prędzejbym się śmierci spodziewał, niż spotkania tu margrabi Salerio! Komuż to szczęśliwe spotkanie zawdzięczam?

— Binettiemu i zarządowi kościelnemu, którzy mię tu trzymają jak przykutego; inaczej bądź pan pewien, że nigdybyś mnie tu nie spotkał. Siedzę od dni kilku i nudzę się piekielnie. A pan, co tu porabia?

— Ba, ja co rok o tej porze przepędzam parę miesięcy w domu mojej bratowej, nie dalej od Mantino (tak się zwały dobra Ryszarda) jak o strzał karabinowy.

Dwaj mężczyźni zamienili z sobą jeszcze słów kilka, i po chwili milczenia Ryszard nagle się odezwał:

— Panie Gerardi, czy nie zechciałbyś sprawić mi jednej wielkiej przyjemności?

— I owszem.

— Zlituj się pan nademną, i zostań u mnie na obiedzie.

— Nie podobna, przykro mi lecz muszę odmówić. Czekają na mnie w domu, a wiadomo panu jakie są kobiety; gdybym nie przyszedł o zwykłej godzinie, pomyślałyby zaraz, że pożarty zostałem przez lwa który w tym celu umyślnie z pustyni afrykańskiej przywędrował.

— I stanowczo pan odmawiasz?

— Wierzaj mi, kochany panie Salerio, że nie mogę. Inaczej z największą chęcią przyjąłbym zaproszenie. Mógłbym jednak co innego zrobić.

— Naprzykład?

— Jeśli pan chcesz pogawądzić ze mną dla zabicia czasu, to przyjdę po obiedzie, około ósmej. Cóż pan na to?

— Jesteś pan moim zbawcą! Ale oczekuję pana na pewne.

— Do widzenia więc. Przepraszam że zaraz odchodzę, lecz pilno mi do domu, bo już na mnie tam czekają; za to prędzej się uwolnię wieczorem.

— Więc do widzenia.

I tak mówiąc ścisnęli się za ręce i każdy poszedł swoją drogą; malarz szybkim krokiem, Ryszard zwolna jak człowiek znudzony, ale rad że nareszcie spotkał żywą duszę z którą może porozmawiać.

Gerardi dotrzymał obietnicy i wieczorem wszedł do pokoju, w którym zwykle Ryszard i Binetti rozmawiali o interesach. Po kwadransie rządca wyszedł, a Ryszard nie miał dość słów na podziękowanie gościowi za jego odwiedziny.

Malarz był człowiekiem wszechstronnie ukształconym i przytem umiał mówić; rozmowa więc z nim była bardzo zajmującą. Ryszard ze swej strony, gdy chciał, umiał być miłym i dość się znał na sztukach pięknych. Czas tak szybko płynął, że wybiła jedenasta, a im się zdawało, że ledwie godzinkę rozmawiali.

— Spodziewam się, że w tych dniach często się będziem widywali, rzekł Ryszard do odchodzącego artysty. Miej litość nad pustelnikiem.

— Owszem, przyjdę gdy będę mógł; kto jednak ma rodzinę jak ja, ten nie zawsze jest panem swej woli.

I musiało to być prawdą, bo następnego dnia wieczór nie przyszedł. Ryszard czekał długo a daremnie; nazajutrz wstał w najgorszym humorze i srodze zagniewany na Binettiego który spokojnie dowodził, że wszystkie sprawy,

wymagają czasu i prosił żeby margrabia jeszcze tydzień zabawił.

Na domiar niedoli, malarz i tego wieczora nie przyszedł, i Ryszard znów z rozpaczą położył się do łóżka.

ROZDZIAŁ II.

Dom, w którym mieszkał malarz ze swoją rodziną, był w rzeczy samej, jak on powiedział, w małej odległości od Mantino. Zbudowany na lekkiem podwyższeniu gruntu, które wieśniacy okoliczni zwali pagórkiem, z przodu osłoniony był ogrodem pełnym drzew rozłożystych, którym zdawało się być za ciasno w małej przestrzeni między domem i kratami żelaznej bramy, otwierającej się na boczną drogę, między którą i głównym gościńcem był sad, sam zaś dom osłoniony drzewami zdawał się ukrywać przed oczyma przechodniów. Był to budynek skromny, kwadratowy, z trzema wyrazistemi barwami: z szaro-żółtawą ścianą, z czerwoną dachówką i z zielonemi okiennicami i firankami. Mieszkanie proste, trochę może prozaiczne, ale poczciwej fizyonomii, jeśli tak wolno powiedzieć. W położeniu jego i widoku jaki przedstawiał gdyś przybywał z głównego traktu przez cienisty ogródek, było coś spokojnego, pogodnego, wesołego i prawie serdecznego. Brama żelazna nowa, z kratami świeżo pomalowanemi, otwierała się pod najlżejszym naciskiem, a ścieżką dokoła trawnika pośrodku którego był klomb hortensyi, dochodziło się wprost do szklannych drzwi pokoju bawialnego.

Tu bardzo często widywano siedzące dwie kobiety, jedną już dojrzałego wieku, drugą młodą, obie zajęte szyciem i haftowaniem. Niekiedy, nieco w głębi pokoju, można było zobaczyć i malarza którego już znamy, pochylonego nad rozpoczętym szkicem. Starsza kobieta miała wyraz twarzy pełen dobroci, lubo nieco pospolity, córka jej zaś (a można to zaraz było poznać z podobieństwa) była panną bardzo ładną, z rysami twarzy regularnemi i jakby wyrzeźbionemi, z przenikliwemi oczyma i z wyrazem twarzy spokojnym ale trochę smutnym. W słodkim uśmiechu jej ust było coś co wskazywało, że życie nie było dla niej zupełną nowością. Jej bujne kasztanowego koloru włosy zaczesane były w tył i odsłaniały czoło; odzienie miała proste, skromne, ale bardzo gustowne i piękną jej kibić uwydatniające.

Jednego wieczoru po obiedzie, gdy dwie kobiety siedziały w zwykłem miejscu, nagle wpadł do pokoju bawialnego zadyszany chłopiec dwunastoletni, którego tu zaraz przedstawimy czytelnikowi jako młodszego brata wyżej opisanej ładnej panny.

— Mamo, mamo, zawołał chłopiec głosem przerywanym od szybkiego biegu, przyjechał do nas margrabia Salerio!

— Chyba ci się przyśniło, mój kochany, odpowiedziała matka: a cóżby on u nas robił?

— Widziałem jego powóz i siwe konie.

— Więc myślisz, że nie może przejeżdżać gościńcem żeby zaraz do nas nie wstąpić? Co ty na to, Konstancyo?

— Może być, że przybył oddać wizytę stryjowi.

— Chryste Panie! A stryj wyszedł! Co poczniemy?

— Nic. Przyjmiemy go, jeśli przyjdzie.

— Przyjmiemy! Mówisz o tem tak spokojnie! Więc przyjmijże go ty, co umiesz rozmawiać, ja odchodzę i zamknę się w swoim pokoju.

— To być nie może, mamo. Nie wypada zostawiać mnie samej. Chętnie rozmawiać z nim będę, ale niech mama tu zostanie.

— Zresztą nie potrzebnie o tem mówimy, bo założę się że nie przyjdzie.

— A ja powiadam mamie, że przyjdzie, powtórzył chłopiec.

I miał słuszność; bo właśnie w tej chwili powóz Ryszarda zatrzymał się przy kratach żelaznych bramy. Oddawszy lejce woźnicy, margrabia wyskoczył z powozu, otworzył bramę, obejrzał się na piękne konie, kazał woźnicy odjechać, wszedł do ogrodu, i zwykłym sobie niedbałym krokiem zmierzał ścieżką prowadzącą do mieszkania.

Pani Gerardi postąpiła sobie jak żołnierz nowozaciężny, który nie chcąc uciekać w obec niebezpieczeństwa, zamyka oczy i na oślep idzie na jego spotkanie: poszła także na spotkanie wytwornego gościa który ją tak zakłopotał.

Ujrzawszy ją Ryszard zdjął kapelusz i rzekł:

— Czy mogę widzieć się z panem Gerardi?

— Mój szwagier wyszedł, ale niebawem powróci. Niech pan raczy wejść i zaczekać.

— Dziękuję. Nie chciałbym robić pani subjekcyi... Powrócę jutro.

Poczciwa pani była trochę zmieszana wysiliwszy się na powiedzenie owych słów kilku, i po odmowie gościa nie wiedziała już czy ma jeszcze nalegać lub nie.

Konstancya patrząc z otwartego okna bawiła się tą sceną.

Matka zawahała się, ale po chwili powziąwszy postanowienie, powtórzyła:

— Ale nie, proszę bardzo, niech pan raczy...

Właśnie zamierzała dodać jakie grzeczne słówka, nie będąc pewną czy się to jej uda, gdy szczęściem otworzyła się brama i wszedł malarz.

— Panie Antoni, zawołała zobaczywszy go pani Gerardi, masz tu gościa.

Ryszard poszedł na spotkanie artysty i wymawiając mu nieobecność poprzednich wieczorów, dodał:

— Nie przyszedłeś pan, więc ja przychodzę.

— I wyśmienicie pan czynisz, odpowiedział malarz ściskając mu rękę.

Tak mówiąc weszli do bawialnego pokoju.

— Margrabia Salerio, rzekł malarz przedstawiając paniom młodego człowieka; moja synowica, dodał wskazując na Konstancyę.

Dziewica lekkiem skinieniem głowy powitała gościa; Ryszard ukłonił się z uszanowaniem.

Potem zaproszony usiadł, i zaczął znów skarżyć się przed artystą na nudy jakie mu sprawiała rozmowa z Binettim i opowiadał, jak nie mając nic lepszego do zrobienia przespał całe dwanaście godzin.

Pani Gerardi usiłowała wmieszać się do rozmowy, i jak umiała najlepiej spełniała obowiązki gospodyni domu. Konstancya milczała, i tylko półsłówkami odpowiedała, gdy Ryszard kilka razy wprost do niej przemówił. Pomimo tego milczenia, wcale nie zdawała się być tak zakłopotaną jak matka, spokojna nie przerywała swej roboty, słuchała jednak i niekiedy rzucała na gościa właściwe sobie pogodne spojrzenie. Margrabia zabawił dobre pół godziny, i widocznie nie miał ochoty podnieść się z wygo-

dnego krzesła z poręczami.; rozmawiał o tem i owem swobodnie, i wreszcie żegnając się z paniami prosił, żeby mu wolno było odwiedzieć je jeszcze i wyszedł wraz z panem Antonim, który chciał go odprowadzić kawałek drogi.

Kiedy malarz powrócił, dwie kobiety siedziały na zwykłem miejscu i milczały, a mały Michaś, stojąc na środku pokoju z komiczną powagą naśladował ukłony i ruchy margrabiego Salerio.

— Wstydź się, chłopcze! Nie trzeba przedrzeźniać ludzi, mówiła matka.

Ale uśmiech na ustach Konstancyi był zachętą dla chłopca.

— Jakże się wam wydał? stanąwszy w progu i przerywając tę scenę zapytał malarz.

— Margrabia?

— Tak.

— Bardzo mi się podoba. Jest nadzwyczajnie grzeczny.

— I mogę zapewnić bratowę, że ma w dodatku dużo rozumu. A ty Konstancyo, co o nim powiesz?

— O rozumie?

— Nie, o całej osobie.

— O całej osobie, stryju? A cóż mam powiedzieć? Widzę go pierwszy raz w życiu. Ma jednak obejście bardzo wytworne.

— I nic więcej?

— Jakto, nic więcej? I to już bardzo wiele. Jeśli stryj chce koniecznie, więc dodam, że bez przesady trzyma szkiełko w oku.

— Ależ Konstancyo! napomniała matka.

— Przepraszam mamę; stryj pytał o moje zdanie.

— I dobrze robisz, że mówisz otwarcie co myślisz. Nie można z pierwszego widzenia sądzić o ludziach, odpowiedział malarz.

I zwykle tak bywało. Stryj trzymał stronę synowicy. W rzeczy samej był między nimi wspólny węzeł: rozum. Matkę z córką łączyły związki serdeczne; stryja z synowicą związki duchowe.

Pani Gerardi była dobrą, poczciwą i zacną kobietą, ale niczem więcej. Córka jej przeciwnie obdarzona była rzadkiemi przymiotami umysłu i serca, a jej stryj był artystą znakomitym i nadto człowiekiem niepospolitego rozumu, z umysłem badawczym, co poznać wszystko i wszystko rozumieć usiłuje. Nic więc dziwnego, że oprócz wzajemnego przywiązania była jeszcze sympatya duchowa między synowicą i stryjem.

Konstancya wcześnie przyzwyczaiła sie patrzyć poważnie na życie. Lubo to życie zamknięte było w szczupłem kółku rodzinnem, nie mniej doznała już nie jednej boleści, miała sposobność okazywać najczystsze i najszlachetniejsze przywiązanie, i przeczuwać uczucia gorętsze, namiętniejsze spotykając je w książkach które z zupełną swobodą czytać jej pozwalano. Kochała najczulej swą matkę, brata prawie po macierzyńsku, a ze stryjem, jakeśmy powiedzieli, obok rodzinnego przywiązania łączyła ją jeszcze sympatya duchowa.

Wielu może ubolewałoby nad jej dolą; bo w istocie ani jej teraźniejszość ani przypuszczalna przyszłość nie miały nic świetnego. A jednak Konstancya była po swojemu szczęśliwą. Wiele czytała, wiele myślała i zastanawiała się, a jej instynkt wrodzony i dobroć głęboka, która niekiedy zastępuje rozum a połączona z rozumem potęgę jego podwaja, nauczyły ją, że jedną z cnót najlepszych i naj-

pożyteczniejszych prawideł życia jest poprzestawanie na małem i zadawalanie się łatwe tem co okoliczności i położenie dać mogą. Taka filozofia praktyczną jest wprawdzie mniej wzniosłą od rezygnacyi religijnej, ale swobodniejsza i weselsza od niej, bywa niekiedy może pożyteczniejszą. Konstancya mężnie przyjmowała boleści i troski, nie zważając na małe dolegliwości życia, a przeciwnie robiła sobie skarb prawdziwy z drobnych niewinnych uciech: szukała w nich przyjemności i pokrzepienia ducha, i zawsze znajdowała. Ten duch praktyczny a jednak pełen utajonej poezyi stanowił jej szczęście ciche a pogodne; przytem odziedziczyła po stryju pewien zmysł artystyczny, który odsłaniał jej tajemnice najsubtelniejszych piękności przyrody i sprawiał, że odgadywała duszę poetów, rozumiała ich uczucia, troski i pragnienia nieustanne.

Otwierając serce dla uczuć i dążeń poetów, Konstancya zamykała je jednak dla swoich własnych pragnień, przekonana że nie wyjdzie za mąż i że życie jej prawdopodobnie mało się zmieni. Nie bogata, skończywszy już lat dwadzieścia dwa, żyła na ustroniu, prawie zawsze na wsi; któżby jej tam szukał? A przytem czyliżby przyjęła?

W dziewicy tej było coś niepospolitego, wyjątkowego, coby mogło wydać się nieprawdopodobnem. Z głównych zarysów twarzy i z pewnych poruszeń podobną była do matki; fizycznie jednak i moralnie podobniejszą była do ojca który ją odumarł gdy miała ledwie lat szesnaście. Stryj Antoni co chwila dostrzegał w niej nowe podobieństwo do ukochanego brata, co tak wcześnie ich opuścił, a był obdarzony najszacowniejszemi przymiotami dobroci, rozumu, męztwa i siły, które sprawiały, że był człowiekiem prawdziwie niepospolitym. Te to przymioty ojcowskie odziedziczyła Konstancya uzupełniającje i udelikatnia-

jąc wytwornym zmysłem niewieścim. Dla tego jej osobistość, acz w wielu rzeczach podobna do matki, była wznioślejszą, wykwintniejszą, i że tak powiemy arystokratyczniejszą w pierwotnem i prawdziwszem znaczeniu tego wyrazu. Ona, co nie miała sposobności uczęszczać do wyższych towarzystw, jeśli przypadkiem do nich weszła, natychmiast była na swojem miejscu, umiała wszędzie doskonale się znaleźć, mając w całem swojem obejściu naturalną swobodę, uzupełnianą i powiększoną dobrem wychowaniem i ową wolnością myślenia i czynienia, którą jej zawsze zostawiano. Wychowanie jej dobre połączone było z ukształceniem gruntownem i rozległem a upiększone rozmowami ze stryjem, za którego staraniem, miała zostawioną wszelką swobodę; sądził bowiem że jej rozum niepospolity i wytworny zdrowy rozsądek najlepszą drogę życia wybiorą. I rzeczywiście był czas, gdy Konstancya zamierzała poświęcić się malarstwu i obrać zawód artystyczny; zamiar ten jednak wkrótce porzuciła, przekonawszy się, że nie ma dostatecznych do tego zawodu zdolności, a współcześnie wiedząc, że ciągła jej pomoc zawsze potrzebną będzie matce i młodszemu bratu. Mieszkała więc ciągle z nimi, rzadko bywając w stolicy i za zwykły swój widnokrąg mając mur skromnego ogródka, cały zielonością pokryty. A zostawiona jej wolność, dzięki której samoistnie zawsze sądziła o tem co za najwłaściwsze dla siebie uważa, czytała książki jakie chciała, rozmawiała o wszystkiem bez wymuszenia, otwarcie swoje wypowiadając zdania,—ta wolność rozciągała się także do jej przyszłości. Konstancya nie robiła sobie złudzeń i wiedziała aż nadto dobrze jakie będzie jej położenie; jeśliby jednak kiedykolwiek nowe uczucie niespodzianie zbudziło się w jej sercu, i wtedy jeszcze pozwolonoby jej działać z zupełną wolnością; chy-

ba może stryj tylko dałby jej jakie rady. Matka w istocie znała wyższość Konstancyi, a będąc z wielkim szacunkiem dla brata swojego męża, jemu w ważniejszych sprawach zostawiała rozstrzygnięcie, a do córki swojej mówiła jak do siostry.

Malarz rzadko wychodził z domu; odwiedziny Ryszarda stawały się więc częstszemi. Pani Gerardi zrazu była tem trochę zakłopotaną, że jednak margrabia był zawsze bardzo grzeczny a niekiedy wesół i żartobliwy, więc w końcu oczekiwała go z niecierpliwością, i jeśliby chciała wyspowiadać się ze swoich uczuć, to pewnieby przyznała, że te częste odwiedziny pochlebiały trochę próżności drobnej szlachcianki. Z drugiej strony ta sama jej próżność obrażała się inną myślą która jakby instynktownie powstawała w jej głowie: „widać się nudzi u siebie, kiedy do nas przychodzi, bo gdyby się nie nudził, czyżby przychodził?“

Obowiązani jesteśmy powiedzieć, że pod tym względem myliła się pani Gerardi. Jest prawdą niezaprzeczoną, że Ryszard nudził się w Mantino, i jak się zdaje, dostatecznieśmy tego czytelnikowi dowiedli; ale jest także prawdopodobnem, że choćby ów pobyt mniej mu się przykrzył, zachodziłby jednak do państwa Gerardi, może nie tak często, ale z pewnościąby tam bywał. Najprzód wysoko cenił talent pana Antoniego i rozmowa z nim bardzo go zajmowała; powtóre był to dom nader sympatyczny, rozjaśniony spokojnem spojrzeniem Konstancyi i stanowił dla niego taką samą nowość jaką dla mieszkańców tego skromnego domku byłyby miejsca, do których on zwykle uczęszczał.

Nie można zaprzeczyć że w sympatyi jaką czujemy dla osób, często mają także pewien udział rzeczy martwe które je otaczają: umeblowanie pokoju, kominek, i to co się widzi z otwartych okien. Kto zaś nie znał nigdy tak miłego

cichego domowego kącika, w którym można serdecznie i poufale gawędzić, temu musi on szczególniej powabnym się wydawać.

A mało było miejsc sympatyczniejsznych, cichszych i bardziej zachęcających do dumań, do owego na wpół myślenia i na wpół marzenia, jak pokoik bawialny u państwa Gerardi. Kiedyś tu półgodziny posiedział w krześle onego czasu wyhaftowanem własnemi rękami pani Gerardi, zdawało ci się żeś tu przebywał od lat dziecinnych, i nie pojmowałeś jak można byłoby nie powrócić tu już nigdy. W miłej atmosferze tego saloniku ogarniał cię zaraz tłum myśli prostych i skromnych, starych ale dla ciebia nowych, i dziwiłeś się żeś tych myśli dawniej nie zauważył, bo zapewne kryły się w jakim kąciku mózgu, zapędzone tam przez tysiące próżnych wyobrażeń życia sztucznego któreś na chwilę teraz porzucił.

To ciekawe zjawisko psychologiczne zaznaczył Ryszard w pierwszych zaraz odwiedzinach któreśmy opisali, a bardziej jeszcze w drugich, trzecich i następnych; zawsze, ilekroć tam poszedł, wrażenie owo potężniało i zawsze młody margrabia zabawił kwadrans dłużej niż poprzedniego razu. Siedząc przy oknie zajęty rozmową z malarzem, gdy pani Gerardi krzątała się tu i owdzie, a Konstancya pracowała w swoim kąciku, doznawał niezwykle błogiej przyjemności.

Widok tej rodziny tak zgodnej i tak zadowolonej ze swego losu, miłym był Ryszardowi, który nigdy jej nie miał, chociaż brak jej dotychczas nie bardzo uczuwał; ten widok zapełniał próżnię i prawie go wzruszał. Przytem wszystko się mu tutaj podobało: i salonik skromny a powabny, i ogródek i mur bluszczem pokryty i klomb hortensyi. Podobały mu się proste stare meble, z perkalowemi pokrowcami,

rozpoczęte robótki damskie leżące na stole obok szkiców malarza i książek szkolnych Michasia; podobały mu się doniczki kwiatów na oknach, ich firanki, kominek i nawet jednostajne tykotanie starego zegaru ściennego z czasów pierwszego cesarstwa. A przytem jaką tu miał swobodę! Mógł dowolnie mówić lub milczeć i nawet drzemać, palić cygaro i żartować z panią Gerardi, bawić się z Michasiem, radzić Konstancyi w doborze kolorów dla włóczkowej roboty, sprzeczać się z malarzem w kwestyach filozoficznych i wreszcie bez ceremonii czytać sobie książkę lub gazetę.

Dodajmy jeszcze, że Konstancya szczególniej budziła jego ciekawość. Ryszard pojmował, że to niepospolita kobieta, domyślał się, że musi mieć więcej rozumu niż okazywała, a nie mógł odgadnąć czy serce jej ma jaką tajemnicę. I w rzeczy samej nie łatwo było ją zrozumieć: mówiła mało i obojętnie; trudno więc było poznać, co się kryje pod jej spokojem i dobrym humorem, i czy jej uśmiech wyraża prawdziwy stan duszy. Obecność Ryszarda w niczem nie zmieniała jej zwyczajów: jak zwykle pracowała w swoim kąciku, lub wychodziła z sali jakby go wcale nie było; małomówna, czasami mieszała się do rozmów Ryszarda z malarzem, ale się zdawało, że te rozmowy mało ją obchodzą.

Jednego dnia, gdy padał deszcz ulewny i właśnie pani Gerardi mówita: „Dziś chyba margrabia nie przyjdzie,“ Ryszard wszedł jak zwykle i zastał Konstancyę przy fortepianie uczącą brata muzyki. Korzystając z tej sposobności, Ryszard zaledwie siadłszy na zwykłem miejscu rzekł:

— Panno Konstancyo, wie pani coby powinna uczynić zamiast trapić palce Michasia...

— I pańskie uszy. Cóż tedy powinnabym uczynić?

— Zagrać sama, naprzykład coś Szumana. Pani musi mieć szczególne upodobanie w jego utworach.

— Przyznaję, że tym razem pan zgadłeś. Zapewniam jednak pana, że z mojej gry nie poznałbyś pan piękności jego kompozycyi.

— Nie wątpię, że pani gra niegodziwie, ale pomimo to mocno pragnę usłyszeć grę pani. Jeśliby więc można prosić o tę łaskę...

— Nie, panie Salerio, dziś nie zagram, odpowiedziała głosem stanowczym i wstała od fortepianu.

— Więc zagra pani innego dnia.

— O, to co innego! Być może!

Ryszard nieco zdumiony jej odmową, zmienił przedmiot rozmowy i zaczął wedle zwyczaju przekomarzać się z panią Gerardi.

Nazajutrz był dzień wyznaczony dla sprawy bardzo ważnej. Binetti miał w tym dniu zdać margrabiemu sprawę z kroków dyplomatycznych czynionych do zarządu kościelnego w tym celu, żeby on sam, wcale jakby nieproszony, zaproponował znów układy polubowne. Ryszard przyszedł w oznaczonej godzinie na konferencyę i przez dwie godziny słuchać musiał relacyi rządcy, który sam nie był jeszcze pewnym, czy mu się udała delikatna missya dyplomatyczna. Po tej konferencyi, kiedy się już Binetti odczepił od margrabi, przyszedł ekonom Jan, który z kolei zdawał mu sprawę z zebranych wiadomościach co do usposobień pojednawczych zarządu kościelnego, przy czem stary tak się rozgadał, że w tym dniu Ryszard nie mógł już pójść do państwa Gerardi.

Za to w niedzielę poszedł wcześniej niż zwykle. Niepogoda dni poprzednich ustała, deszcz już nie padał, i pyszne słońce osuszało liście jeszcze obciążone kroplami. Ry-

szard z rozkoszą oddychał powietrzem porannem, a ogródek, domek i klomb hortensyi wydały mu się sympatyczniejszemi jeszcze niż zwykle; szklanne drzwi od pokoju bawialnego były otwarte; Konstancya siedziała w ulubionem swojem miejscu i czytała książkę. Ryszard wszedł; była sama.

Zdarzyło się to poraz pierwszy. Młody człowiek ukłonił się: dziewica podała mu rękę.

— Dzień dobry, panno Konstancyo.

— Dzień dobry. Jak pan widzi, jestem sama; mama po mszy poszła nie wiem dokąd a stryj od świtu wyszedł w pole robić studya z natury.

— Pani więc sama pozostała w domu?

— Byłyśmy razem z mamą w kościele, ale zaraz po mszy wróciłam.

Nastała chwila milczenia. Konstancya wcale nie była tem zakłopotaną; ale takie milczenia rzadko bywają przyjemne.

Nagle dziewica wstała, poszła do otwartego fortepianu i usiadła przy nim.

— Wyśmienicie! rzekł Ryszard. Dziękuję pani, że dziś raczy wysłuchać mojej onegdajszej prośby.

Konstancya nic nie odpowiedziała i palcami przebiegła klawisze. Potem zwolna tony niewyraźne przybrały niejako kształty i przemieniły się w najmilsze melodye Szumana. Może Konstancya nie była skończoną wirtuozką, grała jednak z takiem przejęciem i czuciem artystycznem, że dokładnie i jasno wyrażała wszystkie odcienia myśli kompozytora. Ryszard był o sto mil od przypuszczenia, że ta cicha, spokojna panna może grać tak prześlicznie. Kiedy fortepian kwilił, płakał i jęczał pod naciskiem jej białych delikatnych palców, ona poważna, spokojna a na-

tchniona i jakby w krainę ideałów się wznosząca, stawała się coraz piękniejszą; jakieś światło łagodne zdawało się tryskać z jej spojrzeń a śliczne rysy twarzy były harmonijniejszemi jeszcze niż zwykle.

Ryszard błądził oczyma po zielonym trawniku który widział z okien, po liściach drzew które poruszane letnim zefirem zdawały się szelestem swoim wtórować tęsknym i słodkim tonom fortepianu, po widnokręgu który się przez wierzchołki drzew ukazywał, i po kwiatach świeżo rozwiniętych. I doznawał wzruszenia jakie zawsze nas przejmuje, gdy słyszymy dobrze grane utwory wielkich mistrzów. I w duszy jego budziły się uczucia najczęściej uśpione, a w umyśle powstawały myśli pogodne i zarazem smutne, przenoszące człowieka w krainy fantastyczne, przeniknione błękitem i światłem...

I gdy potem spojrzenia Ryszarda odwróciły się od okna i spoczęły na rozumnym, delikatnym i harmonijnym profilu fortepianistki, na tej ślicznej, poważnej i natchnionej twarzy, myśli jego jakby mimowolnie przybierały widome kształty, i ta dziewica mimo jego wiedzy, ukazywała mu się jako wcielenie i żywe uosobienie postaci idealnej, jako uzupełnienie i spotęgowanie radości przeczuwanej i dostrzeganej w dali tej zieleniejącej i świetlanej krainy widziadeł, w którą przeniosły go własne marzenia.

— Wybornie! Doskonale! zawołał prawie machinalnie gdy Konstancya grać przestała. Niech pani jeszcze zagra, proszę: niepodobna grać z większem czuciem.

— Strzeż się pan, zaczynasz prawić mi grzeczności, a ja tego nie lubię; zaraz wstanę od fortepianu.

— O, już to samo zamyka mi usta; ale proszę, jeszcze trochę, zaklinam panią!

Konstancya znowu grała. Tym razem była bardziej ożywioną i grała śmielej i lepiej. Potem, jakby mimowolnie, zaczęła śpiewać łącząc swój głos z dzwiękami fortepianu.

Ryszard zachwycony przyzwyczajał się do słodyczy tych tonów niebiańskich, i teraz mniej słuchał a więcej patrzył. Konstancya nie była pięknością wzorową, ale miała tę piękność, która tymbardziej zachwyca im więcej się w nią wpatrujemy. Ryszard wpatrywał się w nią bacznie i dumał.

I w jego oczach Konstancya nie była kobietą taką jak inne; przekonał się zresztą o tem teraz najoczywiściej. Była piękną, zajmującą, najsympatyczniejszą, muzyka jej i śpiew zachwycały Ryszarda jakby zresztą zachwyciły każdego co ma trochę artystycznego poczucia. Był z nią sam, a jednak nie śmiał ani wyrazić swego podziwienia ani prawić grzeczności które mimowolnie cisnęły mu się na usta. Konstancya była dziewicą poważną i roztropną. ale bądźcobądź była kobietą; a jednak myśl o „zalecaniu się“ do niej była o sto mil daleką od Ryszarda. Zwykle bardzo do zalotów skory, margrabia miał przecież mimowolnie jakąś niewytłomaczoną szczególną cześć dla niej i z upodobaniem rozumował sobie, że mógłby tak cały boży dzień przepędzić z nią sam na sam rozmawiając jak z przyjacielem; współcześnie jednak był mocno wzruszony jej śpiewem wskroś przejmującym i muzyką potężną, i nie mógł oderwać spojrzeń od tej ślicznej twarzy i od białych kształtnych rączek które zdawały się być obdarzone rozumem.

Gdy grać przestała, milczeli przez chwilę. Potem odezwała się Konstancya:

— Widzę że pan ma upodobanie w muzyce. Jestem pewną, że lubi grać na fortepianie.

— Przyznam się pani, że prawie grać zapomniałem. Oddawna nie gram wcale, nie wiem dla czego; zapewne nie mam czasu.

— Wistocie?—odpowiedziała z uśmiechem dziewica; to trochę dziwne. Źle pan czyni, otwarcie powiem.

— Ma pani słuszność. Zawsze jest złem nie uprawiać sztuki która podnosi umysł i uszlachetnia duszę. Gdybyśmy trochę więcej szukali uciech prawdziwych i głębokich jakie daje uprawianie sztuki choćby niedoskonałe, życie wydawałoby się nam mniej czczem niż się nieraz ukazuje.

Kiedy wymawiał te słowa, Konstancya bacznie patrzyła mu w oczy. Młody człowiek spostrzegł to w chwili gdy spotkały się ich spojrzenia, i dodał z uśmiechem:

— Niech pani otwarcie powie, że nie wierzyła iż ja mógłbym poważniej...

W tej chwili jednak przerwała mu mowę pani Gerardi która weszła wołając:

— Och! Jak gorąco! Daję ci słowo Konstancyo, że gdybym miała wyobrażenie o dzisiejszym upale, nie włożyłabym mantylli.

Ryszard skwapliwie uwolnił ją od tego zbytecznego okrycia.

ROZDZIAŁ III.

Wielkie było zdumienie pana Binetti, gdy we dwa lub trzy dni po opowiedzianych wyżej wypadkach, przywie-

ziono spory kufer pod adresem Ryszarda. Podczas obiadu zapytał:

— Panie margrabio, dziś rano przywieziono tu dość ciężki kufer, jak się zdaje z rzeczami...

— Rzeczywiście, kazałem przysłać sobie różne rzeczy których potrzebuję, widzę bowiem że muszę przedłużyć tu pobyt.

— To mię mocno cieszy. Niech pan margrabia będzie pewny że nie zatrzymamy go dłużej nad potrzebę, o ile obecność pańska nieodzownie...

— Wiem, wiem, przerwał Ryszard, i przekonany że obecność moja jest tu konieczną, nie myślę tak prędko odjeżdżać.

Binetti znowu oświadczył iż go mocno to cieszy, w duchu jednak był zdumiony zmianą zaszłą w usposobieniach margrabi.

Czytelniczki niewątpliwie domyślą się że dom pani Gerardi grał pewną rolę w tej zmianie. I w rzeczy samej Ryszad znalazł tu miejsce sympatyczne, spokojne i serdeczne, gdzie mógł mile przepędzić kilka godzin na przyjemnej rozmowie z malarzem i na słuchaniu gry Konstancyi. Ta okoliczność musiała wpłynąć na jego postanowienie. Nie była to atoli jedyna pobudka.

Była jeszcze inna: a dla poznania jej musimy cofnąć się nieco wstecz w życie Ryszarda i zrozumieć stan duszy w jakim przybył do Mantino; był to stan spokojności która nastaje po burzliwej zawierusze, była to potrzeba spoczynku którą się czuje po walce. Wistocie Ryszard właśnie był wtedy wyszedł z pewnego przesilenia. Uszczęśliwiony odzyskaną spokojnością, postanowił dla rozerwania się i także dla uniknienia przykrych objaśnień, podróżować przez czas pewien. Przed udaniem się jednak w po-

dróż przyjechał do Mantino z pobudek które znamy, to jest dla załatwienia pewnych spraw wymagających jego obecności. Teraz zaś osądził że lepszą od podróżowania rozrywką będzie uczęszczanie do państwa Gerardi, naradzanie się z Binettim o interesach, czytanie książek i rozmyślanie na przechadzkach samotnych. Nudy pierwszych dni zmniejszały się co chwila; dwór wiejski wydawał mu się z każdym porankiem sympatyczniejszy; nawet proces z zarządem kościelnym i słuchanie szerokich rozpraw o nim rządcy mniej go nudziły; jednostanność życia na wsi ukazywała mu stronę poetyczną którejby nigdy się nie domyślił; godziny upływały zwolna wprawdzie ale niespostrzeżenie, i kiedy w pierwszym dniu po przyjeździe Ryszard mniemał że niepodobna mu będzie zatrzymać się czas dłuższy na wsi, teraz przeciwnie nie mógł się zdecydować na odjadz.

Niech jednak czytelnicy nie sądzą, że było coś bardzo dramatycznego w przeszłości Ryszarda. To co go spotkało, zdarza się bardzo często i nikomu nie wyda się rzeczą nadzwyczajną.

Na kilka lat przedtem ukazała się na scenie wielkiego i wykwintnego świata hrabina Ryta Alviano, i nagle zajęła w nim pierwsze miejsce i tak silnie białą a kapryśną rączką dzierżyła berło mody, że wydrzeć jej go żadna inna kobieta nie łatwoby mogła. Bardzo młodą jeszcze będąc panienką, Ryta miała już wielu wielbicieli i zalotników, może nawet za wielu, bo gdy hrabia Alviano oświadczył się o jej rękę, lubo za nim przemawiało tylko piękne nazwisko i rozległe dobra, trochę zadłużone, rodzice panny bez wahania przyjęli go za zięcia. Ryta była słusznego wzrostu, kształtna jak pyszny posąg, miała oczy czarne ze spojrzeniem omdlałem i czarującem, bujne krucze włosy

i w całej postaci i obejściu coś niewysłowienie rozkazującego i uwodzącego.

Był początek zimy kiedy państwo młodzi wrócili z podróży po ślubie, i rozpoczynał się właśnie świetny sezon wyższego towarzystwa. Hrabina szturmem zdobyła pierwszeństwo którego zresztą nikt jej zaprzeczać nie probował, i pysznie weszła na drogę tryumfów, pewna świetnej przyszłości która się przed nią otwierała. Jej nazwisko zaćmiewało wszystkie inne, a w obec jej piękności bladły powaby innych kobiet. Każde jej skinienie stawało się prawem nieodwołalnem. Wkrótce w salonach jej zbierało się wszystko co było najwykwintniejszego w stolicy, i inaczej być nie mogło. Panie, które wszystkie potrosze zaćmiewała, acz trapione zawiścią, widziały potrzebę składać jej hołdy; a mężczyźni tłumnie przybiegali zapisać się na liście jej wielbicieli. Wszyscy, młokosy i starzy umizgusi, oficerowie, artyści, mężowie stanu, bohaterowie wszystkich teatrów, dyplomaci i sportmeni, ludzie rozumni i pozłacane osły, mężni wojownicy i zniewieściałe zdechlaczki—wszyscy leżeli u nóg tej czarującej i zalotnej kobiety.

Hrabia Alviano był wzorem mężów przeznaczonych do noszenia rogów. Prawdopodobniej system słoneczny zmieniłby się niespodzianie i ziemia z podwójną szybkością krążyłaby około słońca, niż ten mąż uniknąłby losu który go fatalnie oczekiwał. Człowiek ten wcale się nie troszczył o to, że tłumy wielbicieli otaczają jego żonę; owszem chętnie ich przyjmował i nie bez pewnej szlachetnej dumy widział, że żona jego zajmuje najpierwsze miejsce w towarzystwach i że nie ma współzawodniczek.

Ryszard poszedł za ogólnym popędem i był jednym z najskwapliwszych wielbicieli hrabiny. Wkrótce zapom-

niał o dawnych znajomych i nawet o najlepszych swoich przyjaciołach i rozeszła się pogłoska, że seryo zakochał się w zalotnej kobiecie. Ona ze swej strony zdawała się dość przychylnie jego zaloty przyjmować. Znali się oboje od lat dziecinnych, co zdaniem niektórych stanowi przeszkodę, ale nie zawsze; a to dawało im prawo do większej z sobą poufałości. Niebawem wszyscy wielbiciele hrabiny spostrzegli, że Ryszard był najniebezpieczniejszym współzawodnikiem, i chociaż on za nic w świecie nie powiedziałby nikomu czegokolwiek coby mogło kompromitować hrabinę, wielu już mówiło, że stanowczo wybrany przez nią został z tłumu wielbicieli.

Podejrzenia te wkrótce się powiększyły i dla niektórych stały się nawet pewnością, i nie bez racyi. Hrabina zaczęła oczywiście wyróżniać Ryszarda, rzadziej już bywała w towarzystwach, a gdy się gdzie ukazała, on zawsze je towarzyszył. Tłum wielbicieli przerzedniał, bo niektórzy się zniechęcili. Przy takich oznakach nic dziwnego, iż uważano Ryszarda za wielbiciela hrabiny. Z drugiej atoli strony symptomata te były tylko częściowe; obejście jej zawsze miało coś ruchliwego, lekkiego i nader uprzejmego dla innych wielbicieli.

Powiedzieliśmy wyżej, że Ryszard za nic w świecie nie zdradziłby tajemnicy mogącej skompromitować kobietę. W istocie szacowny ten przymiot posiadał w wysokim stopniu; wszelako niekiedy na jego twarzy jaśniały pewne błyski radości, które zdaniem kilku rywali zdradzały go i wyraźnie świadczyły, że miał więcej szczęścia niż chciał to pokazać. Dlatego od pewnego czasu zwracały się na niego wszystkie zawistne oczy, a najbliżsi przyjaciele dziwili się tak niezwykłemu jego szczęściu, z natury bowiem

nie był przedsiębiorczym i miał przymioty charakteru raczej poważne i gruntowne niż świetne i uwodzące.

Ryszard zaczął zalecać się do hrabiny idąc za modą, później zalecał się z przyzwyczajenia. Ryta spostrzegła to niebawem, zręcznie jednak umiała zająć główne miejsce w jego życiu codziennem, kiedy w początkach on szukał u niej tylko chwilowej rozrywki. Hrabina była z tych kobiet co pochłaniają duszę mężczyzny. Ryszard nie kochał jej na prawdę, czuł jednak wiele sympatyi ku niej, niemówiąc już o jego miłości własnej, która istnieje zawsze, nawet wtedy gdy wyprzeć się jej usiłujemy. Już sama wytworność hrabiny i bogactwo które ją otaczało, rozmaitość i zmienność usposobień jej duszy, i oryginalność jej dziwactw i kaprysów potężnie się do upojenia go przykładały. Przez pewien czas jednak mniemał, że zawsze zachowa swoją wolność, i że kiedy zechce, otrząśnie się z uroku jaki go czarował. I zdawało mu się że daje się unosić prądom dla tego, że sam tego chce, że jest słabym dobrowolnie, ale tyle spokojnym iż może się cofnąć i zawrócić, gdy to za stosowne uzna.

Nikt jednak nie zmierzy potęgi jaką ma spojrzenie kobiety. Hrabina nieznacznie zawładnęła Ryszardem a on tego wcale nie czuł. W końcu spostrzegł się wprawdzie, ale w istocie poznał że już nie jest panem siebie.

Przyjaciele spostrzegli to nierównie wcześniej od niego, i niektórzy mieli szczerą obawę. Nie podobało się im to, że był w mocy kobiety, do której zrazu zalecał się lekkomyślnie, ale później mógł wiele ucierpieć z jej powodu. Przewidywali że kiedykolwiek, prędzej lub później, Ryszard ją znudzi jak jednostajny kolor sukni, i że w sercu jego zbudzi się zazdrość której jeszcze nie znał.

Tak też się stało. Właśnie gdy sceptycy zaczynali się dziwić, gdy stosunki Ryszarda z hrabiną stawały się głośniejszemi, gdy zdawało się że inni wielbiciele powinniby zrzec się wszelkiej nadziei; słowem, gdy sądzono że ruchliwy i żywy umysł hrabiny zajął się jednem tylko uczuciem a jej serce ku jednemu tylko zwróciło się przedmiotowi, — nagle z kapryśną zmiennością charakteru wróciła niespodzianie do dawnego życia, równie wesołego jak szalonego, i nikt już prawie nie przypominał sobie zmiany którà czas pewien trwała.

Ryszard jednak nie przestawał być wyróżnianym od innych wielbicieli; ale już nie był spokojnym w swej szczęśliwości. Nie był już tak pewnym siebie, jak mu się zdawało; troska zakradła się do jego serca, obawiał się czy nie dał tej kobiecie więcej niżeli był zamierzył. Liczni rywale odzyskali nadzieję; niektórzy widząc że hrabina nie obchodzi się już z nimi ze zwykłą pyszną obojętnością przypuścili do jej serca szturm z większym niż kiedykolwiek poprzednio zapałem. Ryszard cierpiał na tem bardziej niż sobie wyobrażał. Udawał obojętność, nie chciał przyznać się przed sobą samym, ale w końcu uczuł zazdrość; nie ową zazdrość straszną, tragiczną, nieubłaganą co płynie z miłości namiętnej i niekiedy prowadzi do występku, lecz ową słabszą, złożoną z gniewów, uraz, wzgard i tysiąca drobnych zmartwień które nieustannie kłują jak szpilki i często prowadzą do śmieszności. Ten kres bardziej może niż wszystko inne przestraszający Ryszarda, ukazywał mu zdrowy jego rozsadek na dnie stosunków z hrabiną, jeśli zerwać ich nie będzie miał odwagi.

Na nieszczęście łatwiej jest używać środków gwałtownych przeciw gwałtownej chorobie. niż małych a koniecznych przeciw mniejszej słabości. Należy jeszcze dodać,

że zwolna udział serca stawał się większym i wciąż bardziej wzrastał w miarę oddalania się hrabiny i przeszkód w zbliżeniu się do niej zachodzących.

Położenie, mówiąc językiem dyplomatycznym, stawało się z dniem każdym bardziej wytężonem. Plotki tych co pierwsi ogłosili Ryszarda kochankiem hrabiny, teraz posunęły się aż do wymieniania półgębkiem jego następcy w osobie młodego kapitana, głośnego z powodzenia na wszystkich polach bitwy. Zdaniem ich, Ryszard przedstawiał już przeszłość, kapitan teraźniejszość... a o przyszłości lepiej było nie mówić.

Z pewnością ludzie ci więcej widzieli niż było prawdą; nie można jednak było zaprzeczyć że waleczny kapitan bardzo się podobał hrabinie i że Ryszard coraz bliżej dochodził do kresu, któryśmy wyżej zaznaczyli.

Najlepszym przyjacielem Ryszarda był jego brat stryjeczny, hrabia Andrzej Salerio, który rzeczywiście kochał go jak brata. Czasami bywał on szorstki, ale serce miał najlepsze. Dotychczas mówił mu o hrabinie Alviano tonem szyderczym i drwiącym; chociaż ją znał bowiem, nie palił jednak kadzideł na jej ołtarzu. Jednego poranku wszedł do Ryszarda w paltocie i w kapeluszu na głowie z miną dość opryskliwą. Ryszard który położył się był spać bardzo późno, obrócił się leniwie na łóżku i sennym głosem mruknął:

— Po co u dyabła przyszedłeś tu o tak niezwykłej porze?

— Muszę z tobą pogadać. Wiedziałem że śpisz, ale mniejsza o to. Obudź się i słuchaj.

— Sprobuję słuchać cię śpiący.

— Otworzysz oczy gdy się dowiesz o czem mam mówić. Do której godziny byłeś wczoraj na balu u margrabiny?

— Och! ziewnął Ryszard, byłem aż do końca.

— I nic nie widziałeś?

— Ech, owszem, wiele rzeczy widziałem!...

— Naprzykład, czy widziałeś że hrabina Alviano przez cały wieczór śmiała się tylko z ciebie i że nieustannie prawie wspierała się na ramieniu kapitana?

Ryszard obudził się; ale odpowiedział spokojnie:

— A cóż mię to obchodzi?

— Ryszardzie, niekompromitowanie kobiety jest pierwszą cnotą mężczyzny w takich sprawach; ze mną jednak ta skrupulatność jest zgoła nieużyteczną. Nie wiem czy to co mówią ludzie jest prawdą lub nie, ale wierzę temu, i to wystarcza. Zadurzyłeś się biedaku w hrabinie, i teraz gdy ona nie bardzo gustuje w rozmowie z tobą, daremnie ukrywasz że się złościsz na tych, co się jej więcej od ciebie podobają. Nie potrzebuję twoich zwierzeń, ale myślę że moje rady na coś ci się przydadzą.

Ryszard obudził się teraz tak dalece, że skoczył z łóżka, i przywdziawszy szlafrok zbliżył się do kominka, na którym palił się wesoły ogień, i usiadł przy kuzynie.

— Przypuśćmy dla zrobienia ci przyjemności, że wszystko co mówisz jest prawdą. Czy sądzisz jednak że jestem dzieckiem? W dniu w którym nie będę już miał ochoty bywać często u hrabiny lub gdy spostrzegę że jej postępowanie może dać powód do błędnych przypuszczeń, bądź pewien, że potrafię zmniejszyć liczbę moich odwiedzin, i że uczynię to spokojnie i pogodnie, bez smutków i zmartwień, które jak widzę, chcesz we mnie wmówić. W teraźniejszym jednak stanie rzeczy uważam za najniestosowniejsze okazywać gniewy lub urazy z powodu, że hrabina chętniej przyjmuje cudze niż moje zaloty. Jak widzisz, szczerze odpowiadam na twoje poważne uwagi i przyjmuje twoje

przypuszczenia, żeby się nie zdawało, że nie chcę odpowiadać na pytania. A przytem, ku czemu zmierzają twoje rady, co mam czynić według twego zdania?

— Powiadasz że jesteś szczerym? Wierzę ci i dziękuję za to; sądzę jednak że się łudzisz. Zanadto dobrze znasz drobne dyplomacye światowe, abyś nie miał przed publicznością ukrywać twoich uraz i gniewów; kto jednak bacznie cię śledził, ten wie żeś wczoraj wieczór cierpiał...

— Och, och! Dajżeż pokój...

— Powiadam ci, żeś cierpiał. A ten twój stan będzie się wciąż pogorszał. Mamże ci powiedzieć co cię czeka? Nasza hrabina należy do tych kobiet co lubią nowe rzeczy a zachowują stare. Więzy silniejsze niż się do tego przyznajesz, łączą cię z tą kobietą i krępują coraz bardziej, chociaż tego nie spostrzegasz. Kapitan lub kto inny daleko już w łaskach jej zajdzie, a ty jeszcze nie będziesz mógł abdykować. Hrabina potrafi wziąć drugiego a ciebie z rąk nie wypuścić. Wtedy będziesz w położeniu prawdziwie śmiesznem i może na zawsze zaprzężony zostaniesz do tryumfalnego rydwanu hrabiny i musisz patrzyć na wszystkie zmiany dynastyi odbywające się z szybkością coraz bardziej francuzką...

Ryszard nagle spoważniał i odpowiedział nieco zimno:

— Pozwolisz mi powiedzieć, że mam inne niż ty wyobrażenie o hrabinie Alviano.

— A widzisz!... Widzisz że już jesteś zaślepiony? Widzisz że ona mocniej cię zajmuje niż utrzymywałeś przed chwilą? Że się uważasz za wolnego, a już nim nie jesteś? Mój drogi, nie masz chwili czasu do stracenia.

— Żeby co zrobić?

— Rzecz najprostszą w świecie: zapakować swoje manatki.

— Wyjechać? Ależ Andrzeju! Nic gorszego nad to wymyśleć nie można. Powiedzianoby żem wyjechał z gniewu i zazdrości.

— I powiedzianoby prawdę. Gniew i zazdrość przebijają się w całem twojem postępowaniu; widać je było wczoraj wieczór, chociaż starałeś się to ukrywać; a w takiem położeniu lepiej wyjechać niż pozostać.

— Przepraszam cię. Zdaje mi się, że jeśli co wystawiłoby mnie na śmieszność, to pewnie usłuchanie twojej rady.

— I ty jeszcze utrzymujesz że jesteś wolnym? Całe twoje rozumowanie jest sofizmatem, którym usiłujesz wmawiać w siebie samego, a nie możesz.

Ryszard wciąż przeczył, ale w duchu pojmował że Andrzej ma słuszność, chociaż trochę przesadza: mocno jednak postanowił nie usłuchać rad jego. W tym jeszcze dniu złożył długą wizytę hrabinie, a ona mając w wysokim stopniu dar przekonywania, wmówiła w niego, że nie dba ani o kapitana ani o innych swoich wielbicieli. Ryszard tedy osądził, że hrabia Andrzej jest odludkiem i niedorzecznym zrzędą. Niebawem jednak miał poznać, jak błędnem było to przekonanie.

Z każdym dniem bardziej się upewniał, że rada kuzyna była dobrą, ale urok hrabiny był zbyt potężnym. Czar jej miał siłę niweczenia wszelkich postanowień, a wszelka wymowa była słabszą od wymownych jej spojrzeń. Otaczał ją krąg czarodziejski z którego nie można się było oddalić. Hrabina umiała przywiązywać do siebie tysiącznemi niewidzialnemi ale mocnemi nićmi. I zwolna, nieznacznie zawładnęła całym czasem Ryszarda i wszystkiemi jego myślami, i nie chciała wypuścić go ze swej mocy te-

raz nawet, gdy wiedziała, że czyni go nieszczęśliwym przechylając się ku innemu.

Jednego dnia Ryszard wracał powozem z codziennych odwiedzin, gdy przez szybę w karecie zobaczył zwolna idącego hrabiego Andrzeja. Kazał woźnicy stanąć i przywołał kuzyna.

— Wiesz, żem już postanowił?

— Co takiego?

— Raz to skończyć. Usłucham twojej rady, szkoda że nie wcześniej. Bądź co bądź, zerwę, niech się co chce dzieje.

Był blady, i gdy to mówił głos jego drżał.

Hrabia Andrzej nic nie odpowiedział, otworzył drzwiczki i wsiadł do powozu.

— Pojedziemy do ciebie. Pomogę ci upakować manatki. Dziś wieczór o siódmej odjedziesz koleją żelazną do Francyi.

— O, masz w tem zupełną racyę. Najlepiej będzie wyjechać, bo inaczej... Tego wieczora jednak niepodobna.

— Jeżeli nie wyjedziesz tego wieczora, to nie wyjedziesz i za miesiąc.

Sprawdziły się te słowa prorocze. Postanowić zerwać a wykonać to, rzecz inna. Postanowienie było trudne i bolesne, wykonanie jeszcze boleśniejsze. Ryszard odkładał je od dnia do dnia, i tak odkładając zaczynał chwiać się w postanowieniu. Wzgląd na własną niezależność i spokojność, dumny charakter, przewidywanie że zwłoka wszystko pogorszy, obawa śmieszności, zdrowy rozsądek, rady szczerych przyjaciół, smutne cudze przykłady, wszystko to nagliło do wyjazdu—ale miłość, próżność i przyzwyczajenie zatrzymywały go na miejscu,

Byłoby za długo opowiadać przeróżne jego usiłowania. Ileż to razy postanawiał powiedzieć hrabinie, że wszystko już skończone i że wyjeżdża, i ileż razy rozbroił go jeden jej uśmiech! Hrabia Andrzej zdołał nareszcie skłonić go do zapakowania sławnych manatków; ale nazajutrz zastał Ryszarda niepewnego bardziej niż kiedykolwiek, i pokojowca rozpakującego rzeczy.

Jednego dnia gdy już wszystko było gotowe do drogi, Ryszard otrzymał od rządcy Binettego list, który zmuszał go do pozostania, jak utrzymywał. Innego znowu dnia było jeszcze gorzej, bo otrzymał bilecik od hrabiny. Innego wreszcie dnia hrabia Andrzej opuściwszy go wieczorem bardziej niż kiedy zdecydowanego na zerwanie, nazajutrz rano zastawał go w stanie exaltacyi i zupełnie zmienionego. Daremnie usiłował go przekonać, daremnie przypominał mu własne słowa przed kilku godzinami powiedziane. Ryszard wołał z rozpaczliwą rezygnacyą:

— Nie, Andrzeju, niepodobna! Wszystkie twoje rozumowania są dobre, lecz na nic się nie zdadzą. Jestem prawdziwym niedołęgą, ale na to nie ma rady. Nie mogę, nie mogę, nie mogę!

I mówiąc te wyrazy które go dławiły, miał łzy w głosie.

Hrabia Andrzej widząc że nic już nie poradzi, dał za wygranę i postanowił czekać cierpliwie aż kuzyn sam się przekona o potrzebie wyjazdu. Ryszard miał wiele zdrowego rozsądku i daru spostrzegawczego, i prędzej czy później musiał się opamiętać. Dla tego hrabia Andrzej zostawił wszystko czasowi, i nie zajmował się już ani nim ani hrabiną, tak dalece że przez pewien czas nie wiedział nawet co się z nimi działo.

Pożądana jednak zmiana w Ryszardzie spełniła się prędzej niż się mógł spodziewać. Kiedy nareszcie zastał go mocno zdecydowanego, zadowolonego z powziętych postanowień i prawie uleczonego, mimowolnie mruknął pod nosem: „Musiała ci dyabelnie dokuczyć!“ I był tem uszczęśliwiony. Nie oczekiwał tak pomyślnego wypadku. Ryszard był zupełnie spokojny.

Tym razem wyjechał na prawdę. Hrabia odwiózł go na kolej, i gdy bilety były już kupione i bagaże podróżne oddane urzędnikom kolejowym, odetchnął z zadowoleniem, ścisnął rękę przyjaciela, radził nie spieszyć się z powrotem i szukać rozrywek.

Przybywszy do Paryża Ryszard miał zaraz niespodziankę: oczekiwał go w hotelu list, którego poznał pismo arystokratyczne i elegancko nieczytelne oraz dziwacznie opleciong cyfrę z koroną i herbami domu Alviano. Przeczytał list poważnie i z uwagą; potem przeczytał drugi raz i podarł...

Hrabina była rozgniewana i nieco upokorzona wyjazdem Ryszarda. Nie znając jego charakteru ruchliwego wprawdzie ale wytrwałego w powziętem postanowieniu, nie przypuszczała że zdolny będzie ją porzucić. Obrażona w miłości własnej a może i w głębszych uczuciach, uczyniła to co czynią kobiety wyniosłe i pyszne: upokorzyła się. Natychmiast napisała, żeby list zastał go za przyjazdem.

Hrabina łudziła się jednak sądząc że Ryszard powróci. Ów list wystudyowany i zarazem namiętny, pozostał bez odpowiedzi. Milczenie to zapewne wyszło na pożytek komu innemu.

Wkrótce Ryszard spostrzegł, że pomimo chwil smutnych zapomnienie nie było tak trudnem jak sądził. Z dniem każdym wspomnienia słabły.

Po kilku miesiącach powrócił do Włoch rzeczywiście uleczony, lubo czuł w życiu pewną czczość i próżnię. Zaledwie powróciwszy, gorąco zapragnął odjechać znowu. Wszystko co go otaczało było mu wstrętnem. Wtedy to otrzymawszy list naglący od Binettego, postanowił przed udaniem się na wojaż przepędził dni kilka w Mantino, w rodzinnym domu którego od lat dziecinnych nie widział.

Jak wiemy atoli, pobyt w Mantino niespodzianie się przedłużał. W ciszy i spokoju tego życia wiejskiego chęć wyjazdu słabła z dniem każdym. I Binetti zdumiony i zarazem uszczęśliwiony tem że margrabia nabierał upodobania do życia na wsi, patrząc na niego badawczemi oczkami przez złote okulary, myślał sobie: „Coś w tem jest, dalibóg!“

ROZDZIAŁ IV.

Wieczór był ciepły, na niebie wspaniale błyszczały gwiazdy. Przez otwarte okna bawialnego pokoju u państwa Gerardi świeży wietrzyk wieczorny rozlewał woń kwiatów. Rodzina siedziała jak zwykle przy stole, a z nią i Ryszard, który teraz przychodził także wieczorami.

Pani Gerardi już spoufalona z nowym przyjacielem, mówiła do niego:

— Wkrótce pan odjedzie i zupełnie o nas zapomni.

— O, proszę, niech pani mnie nie spotwarza. A przytem wyjazd mój nie jest tak blizki. Tylko jutro udać się muszę do stolicy.

— Na długo? spytała pani Gerardi.

Konstancya która stojąc nawijała na kłębek jedwabne nici z motka, podniosła oczy.

— Dokładnie nie wiem, odpowiedział.

Oczy Konstancyi zwróciły się znów na motek. Po chwili jednak z pewną z niezwykłą niespokojnością dziewica porzuciła robotę i siadła do fortepianu, widocznie jednak nie dla zabawienia drugich, bo korzystając z tego że mało na nią zwracano uwagi, zaczęła studyować trudny jakiś utwór muzyczny, którego jeszcze nie znała.

Rozmowa często się urywała. Stryj Antoni cały był zajęty wykończaniem kilku szkiców zdjętych rano z natury. Z sąsiadów którzy czasami odwiedzali państwo Gerardi, tego wieczoru było dwóch: stary szlachcic gospodarz wiejski i lekarz, którzy obaj rozmawiali z sobą półgłosem, z wielkiem jak się zdawało ożywieniem, ale nie byli przez drugich słyszani. Pani Gerardi często gubiła wątek rozmowy a Ryszard był wielce zajęty puszczaniem z ust kręgów cygarowego dymu i podziwianiem pogodnego nieba, które widać było z okien otwartych.

Lekarz i stary ziemianin wkrótce pożegnali towarzystwo, i nastało długie milczenie. Spostrzegłszy się wtedy pani Gerardi przerywając je, zawołała:

— Jak śliczny wieczór!

— Tak dalece śliczny, odpowiedział Ryszard, że nie ma się ochoty mówić. Jabym tak do rana przesiedział w milczeniu na tem krześle i patrzyłbym tylko w gwiazdy.

Tymczasem Konstancya nuciła półgłosem ulubione swoje melodye. Miły i spokojny dźwięk tego czystego głosu harmonijnie zlewał się z ciszą zewnętrznego świata i z błogim spokojem umysłów. Nic nie masz milszego nad to dumanie pośród osób sympatycznych, w ciepły pogodny wieczór,

gdy myśli nasze błądzą samopas kołysane muzyką. Dusza spoczywa. kiedy wzrok i myśl bez wysileń i znużenia przebiegają niezmierzone niebios przestrzenie.

Gdy nadjechał powóz Ryszarda, wszyscy przeprowadzili go do bramy.

— Jak pięknym jest ogród tego wieczora! Szkoda doprawdy żeśmy siedzieli jak zamknięci w pokoju! zawołała Konstancya. A pomyśleć, że wszyscy co mieszkają w stolicy, prawie nie znają wiosny!

— Ma pani słuszność, rzekł Ryszard. Był czas, że nie pojmowałem jak można żyć na wsi, a teraz przeciwnie...

— A jednak jedziesz pan jutro do miasta.

— Z musu, ale zabawię tam jaknajkrócej.

Mówiąc to otworzył bramę, ścisnął rękę pani Gerardi, pana Antoniego i w końcu Konstancyi.

— Szczęśliwej więc podróży.

— Dziękuję i do zobaczenia, panno Konstancyo.

Siadł do powozu i konie ruszyły dobrym kłusem. Kiedy już powóz był tylko czarnym punkcikiem na drodze, zamknięto bramę i zwolna powracano do domu.

— Nie dziwiłabym się — rzekła pani Gerardi — gdyby raz dostawszy się do stolicy, nie zechciał tu już powrócić.

Pan Antoni i Konstancya nic nie odpowiedzieli.

Binetti jednak nie podzielał obaw pani Gerardi. Nazajutrz gdy Ryszard odjeżdżał, rządca żegnając się z nim, zamiast gorąco rychły powrót zalecać, jakby to w innej okoliczności uczynił, teraz odezwał się z dowcipnym uśmiechem:

— Nie wątpię, panie margrabio, że wkrótce będziem mieli przyjemność oglądać go znowu.

Ryszard spojrzał na niego trochę zdziwiony i nic nie odpowiedział.

Pobyt jego w stolicy z wielu błahych powodów przedłużył się nieco, i pani Gerardi zaczynała już mówić: „A widzicie?“

Margrabia spotkał raz hrabinę Alviano w otwartym powozie, ukłonił się jej z daleka, ale i na tem poprzestał. Hrabiego Andrzeja nie było w mieście. Żadna z osób które widywał, nic go nie obchodziła. Czuł że jest rdzennie uleczony, z powodów jednak których wytłumaczyć sobie nie umiał, spostrzegł że spełniła się w nim zmiana i jeszcze spełniała. Dawne upodobania straciły powab, myśli i wyobrażenia znacznie się przekształciły; wiele rzeczy które dawniej wydawały mu się przyjemnemi i pożądanemi, teraz przedstawiały mu się czczemi i nudnemi, a przeciwnie inne o które dawniej nie dbał, teraz zajmowały jego myśli. Czuł nieznaną dawniej potrzebę spokojności, zdawało mu się, że dla jego życia otwierają się nowe widnokręgi. Przez długie godziny bywał tak poważny i głęboko zamyślony, że możnaby przypuszczać iż cierpi na melancholię. O przeszłość już nie dbał, prawie o niej zapomniał, od teraźniejszości żądał tylko spokoju, przyszłości nie badał, ale przeczuwał że ona będzie dość odmienną. Teraz myślał o wielu rzeczach o których dawniej nigdy nie pomyślał; niedbała niefrasobliwość która stanowiła część jego charakteru, pozostała wprawdzie jak była, ale tylko względem rzeczy zewnętrznych, bo co do wewnętrznych, przeciwnie żywo i gorliwie niemi się teraz zajmował: badał siebie, rozbierał własne uczucia, starał się poznać samego siebie, czego dawniej nigdy nie czynił. I zdawało mu się, że się duch jego zestarzał.

Nie miał już żadnej ochoty udawać się znów za Alpy, stolica była mu niemal wstrętną, a myśl o spokojnem pobycie w Mantino coraz się milej do niego uśmiechała. Zdu-

miewało go to wielce, gdy pomyślał że zawsze lubił być w ruchu i zgiełku i że z największą niechęcią udawał się na wieś, chociaż tam miał tylko krótki czas zabawić. Teraz przeciwnie, zdawało się że go coś ciągnie do samotnej wioski, i rozkoszuie kołysze myślą o pozostaniu tam na długo.

Nie mógł się już przed sobą samym tłumaczyć pozorem unikania drobiazgowych a przykrych wypytywań, które spowodować mogło nagłe jego zerwanie stosunków z hrabiną; albowiem na widok jego twarzy poważnej i zamyślonej zamykały się wszystkie usta, i nikt nawet żartem nie śmiał mu się naprzykrzyć. Jedynego człowieka, któryby się na to odważył, nie było w stolicy.

Ryszard jednak dowiedział się o różnych zmianach które zwolna zaszły w sposobie życia hrabiego Alviano; człowiek ten bowiem nagle stał się jednym z najzapaleńszych wielbicieli własnej żony, i lubo słabego i zimnego charakteru, stał się zazdrosnym. Hrabina ze swojej strony wciąż odnosiła tryumfy używając względem męża dyplomacyi tej samej, którą z taką korzyścią praktykowała względem innych swoich wielbicieli.

Załatwiwszy pilniejsze sprawy, Ryszard napełnił kufer książkami i innemi rzeczami, między któremi była staroświecka szkatułka z rzeźbionego drzewa od której kluczyk zawsze nosił przy sobie, i rzekł do pokojowca:

— Słuchaj, Baptysta!

— Co pan margrabia rozkaże?...

— Nie jedziemy już za granicę. Powracam do Mantino. Gdy się kto o mnie zapyta, powiesz że wyjechałem ale nie wiesz dokąd. Gdy nadejdą listy, odsełaj mi je na wieś wraz z gazetami.

— Dobrze, jaśnie panie.

— Zostawiam cię tutaj, gdyż ci ufam. Gdy cię zapotrzebuję, napiszę do ciebie i przyjedziesz na wieś. Pamiętaj, żeby tu wszystko było w porządku. Listy te odniesiesz według adressu.

— Zrobię wszystko jak pan margrabia rozkazał.

— A! Zapomniałem! Gdy powróci hrabia Andrzej, powiedz mu że jestem na wsi. Ale tylko jemu jednemu. Zrozumiałeś?

— Doskonale, jaśnie panie.

To powiedziawszy Ryszard wyjechał. Dzień był piękny, niebo jasne, chociaż tu i owdzie białemi okryte obłokami, a powietrze ciepłe i przepełnione tchnieniem nowego życia drgającego w łonie przyrody. Ryszard wziął z sobą kilka książek dla skrócenia czasu w drodze; nie mógł jednak czytać. Z rozkoszą oddychał wonnem powietrzem pól i myślom swoim puszczał wodze. W głowie jego snuło się mnóstwo myśli którychby nie umiał wyrazić. Te godziny pędzone samotnie w powozie nie wydawały mu się długiemi. Był nadzwyczaj zadowolony z tego że wraca na wieś, a im bardziej zbliżał się do kresu podróży, który niedawno jeszcze tak się mu nudnym wydawał, tym był weselszym i rzeźwiejszym.

Z głównego gościńca, na półgodziny przed przybyciem do Mantino, widać było w pewnej odległości dom państwa Gerardi. Ryszard przypomniał sobie że zauważył był ten dom jadąc tą drogą poraz pierwszy. Wówczas nic nie wiedział o mieszkańcach tego skromnego dworka, patrzył nań obojętnie jak na każdy inny dom; przypomniał sobie nawet że wtedy myślał, iż porządnie by się znudził, gdyby musiał dłuższy czas tu przebywać, jak zapewnie nudzą się ci co tu Bóg wie od jak dawna mieszkają... Teraz zaś znał ten dom dokładnie, nieraz był za temi żelaznemi sztache-

tami, nieraz przechodził temi wązkiemi i krętemi ścieżkami. i co ważniejsza znał tutejszych mieszkańców, znał ich życie codzienne, zwyczaje i nieledwie wszystkie ich myśli, czuł że go żywo obchodzi wszystko co ich dotyczy i pragnął ujrzeć ich znowu. I z przyjemnością wyobrażał sobie to nowe spotkanie, i ze zdziwieniem myślał, że dom, mur ogrodu, sztachety i kwiaty na trawniku mogą nabierać znaczenia istot żywych, i że się tak ośmielimy powiedzieć, miały duszę, były osobistościami.

Ten domek, niedawno jeszcze zgoła nieznany, a teraz jakby stary przyjaciel, przedstawiał mu nowy żywioł jego własnego istnienia. Ileż to razy stąpał po dróżce do niego wiodącej, ile razy zamierzał znowu na nią wrócić!

Teraz długo wodził po niej wzrokiem gdy powóz zbliżał się do Mantino. I nie mógł oderwać oczu od tych okien z zielonemi firankami, które niedawno przed tem wydawały mu się dość antypatyczne; teraz firanki te były z powodu słońca wszystkie spuszczone, oprócz ostatniej po prawej stronie. Dla czego ta jedna była podniesiona?

Przybywszy do Mantino uczuł w sercu żywe zadowolenie. Ekonom wybiegł na jego spotkanie, a czerwona twarz starego Jana wyrażała tak szczerą radość z ujrzenia ukochanego panicza, że dla Ryszarda to przywiązanie poczciwego oficyalisty było nowym wioski powabem. Binetti także przybiegł, według zwyczaju usłużny i uradowany, z tym samym dowcipnym i nieco złośliwym uśmiechem na ustach, jakby margrabia przez te dni ostatnie wcale wsi nie opuszczał.

I zaraz jął prawić o interesach, ale Ryszard był zanadto roztargniony.

— Czy wie pan margrabia, mówił rządca, z tym chytrym zarządem kościelnym sprawa coraz gorsza. Ani my-

śleć o tem, żeby sam zaproponował nam układ polubowny! Codzień nowe jakieś wynajduje roszczenia i krzyczy, że na włos od praw swoich nie odstąpi.

— Cieszy mnie to doprawdy, odpowiedział Ryszard, który zgoła o czem innem myślał.

Binetti spojrzał nań z ukosa przez okulary, potrząsł głową, ale nie dodał ani słowa. Dopiero przy stole, gdy Ryszard sam zapytał o proces z zarządem kościelnym, przypomniał mu jego roztargnienie.

Zaraz po obiedzie Ryszard zwolna udał się pieszo ku domowi, który był zwykłym kresem jego przechadzek. Jasny księżyc przyświecał mu drogę. Zbliżywszy się do sztachet żelaznych, zdumiał się, że żadne z okien na dole nie było jak zwykle oświecone. Czyżby wszyscy wyszli? szeptał do siebie. Spotrzegł tylko światło w ostatniem oknie po prawej stronie. Nie umiejąc wytłumaczyć sobie tej ciemności niezwykłej, myślał już się zawrócić, gdy nagle ukazało się światło kolejno w dwóch ostatnich oknach, a wkrótce potem to samo światło błysnęło i w pierwszem oknie na dole.

Wtedy zdecydował się wejść, i zobaczył w pokoju bawialnym Konstancyę, która postawiwszy lampę na stoliku, siadła, westchęła i wzięła książkę. Dziewica nie wprzód spostrzegła obecność Ryszarda aż postąpił kilka kroków, i mimowolnie drgnęła na ten widok nieoczekiwany.

Gdy pierwsze zdziwienie minęło, Konstancya serdecznie powitała margrabiego i opowiedziała mu, że matka od trzech dni leży w łóżku. Lekarz mówił, że choroba nie ma nic niebezpiecznego, zalecił jednak spoczynek i zupełną spokojność. Gorszem było to, że właśnie na dzień przed zachorowaniem matki, stryj Antoni otrzymał list o obrazach które posłał na wystawę, i że to zmusiło go

udać się do stolicy, tak iż teraz Konstancya była sama z matką i ze służącą.

Ryszard chciał zaraz odejść, ale Konstancya zatrzymała go mówiąc, że teraz chora śpi. i że gdy się obudzi. służąca lub Michaś znać jej dadzą.

Młody człowiek siadł na zwykłem miejscu i zaczął swobodnie rozmawiać. teraz bowiem nie było między niemi pewnego przymusu jaki sobie w pierwszych dniach zadawali. Ryszard przekonał się, że Konstancya rzeczywiście była taką jaką się okazywała. i teraz oboje rozmawiali z sobą poufale jak starzy przyjaciele. Zalecać się do niej wydałoby mu się śmiesznem. a śmieszniejszem jeszcze gdyby rozmawiał z nią o błahotkach, jak się zwykło mówić z młodemi pannami. W stosunkach ich wzajemnych było pewne zaufanie; poufność, którejby zrazu nie przewidział. Szczególniej Konstancya, która z początku była zimną i milczącą, teraz zdawała się przyznawać, że złe miała o nim wyobrażenie, albowiem rozmawiała z nim z przyjacielską poufałością i swobodą, której nie miała zwyczaju szafować, i już w samym sposobie jakim teraz do niego przemawiała, czuć było że go ceni i poważa.

I w rzeczy samej często widując Ryszarda Konstancya spostrzegła, że był nierównie lepszym niż się z pozoru wydawał, że jego lekkomyślność była raczej powierzchowną niż prawdziwą, i że umysł miał bardziej wykształcony niż zrazu przypuszczała. Wzięła go była za szczęśliwego paniczyka, za jednego ze złotej światowej młodzieży, a przeto tak od niej oddalonego, że nie warto się było nim zajmować; teraz przeciwnie dostrzegała, że był zdolnym do cnót i poświęceń. lub przynajmniej że je cenić umiał, że zasługiwał na bliższe poznanie i mógł wzbudzić sympatyę.

W pierwszych dniach Konstancya widząc tylko jego powierzchowność, obejście wytworne ale zarazem dumnie niedbałe, jego pańskie znudzenie i jakby przesyt, źle go osądziła: w końcu jednak zrozumiała go dobrze. Między innemi razu jednego mówił jej ze wzruszeniem o swoich latach dziecinnych, kiedy został sierotą pod nadzorem guwernera, o stracie matki, którą zawsze, w najszczęśliwszych latach, z boleścią sobie przypominał. A później, przy różnych sposobnościach opowiadał jej niektóre szczegóły ze swego życia: o swojem wychowaniu zaniedbanem, o żalu jaki mu to sprawiało i o usiłowaniach żeby temu zaradzić; o kilku miesiącach przepędzonych na służbie wojskowej, i o nudach (jedynej jakiej ulegał chorobie) które czuł wśród wszelakich rozrywek. Konstancya, acz niedoświadczona, przewidywała rozmaitość uciech jego życia, i przed jej okiem niewieściem lubo spokojnem, wiele rzeczy się nie ukryło.

Jeśli jednak niektóre przymioty Ryszarda dziwiły Konstancyę, nie mniejsze było zdumienie Ryszarda, z powodu wrażeń, których jak wiemy, doznał ujrzawszy ją poraz pierwszy, a te wrażenia wciąż potężniały. Młody człowiek podziwiał jej piękność cichą i spokojną, jej talent muzykalny niepospolity a skromny, jej rozum bez pretensyi, słowem wszystkie jej zalety; nadewszystko zaś podziwiał pogodę jej duszy pośród jednostajnego życia, pozorny brak pragnień tego ducha wyższego i wrażliwego, wesołe pogodzenie się ze swym losem, słowem podziwiał jej szczęśliwość. W ogóle oboje badali się i studyowali wzajem, że zaś od tego wzajemnego studyowania się przejście do poufności było blizkie, więc też prędko wymieniali z sobą wzajem myśli poufne i serdeczne.

Tego wieczora rozmawiali długo. Rozmowa ich była zgoła różną od zwyczajnych. Ryszard wygodnie rozsiadłszy się w krześle z poręczami, mówił półgłosem, jakby do siebie: a Konstancya poważna, nieruchoma, rękoma tylko zajęta robótką, słuchała go z baczną uwagą. Tego wieczora Ryszard, nie wiedząc sam dla czego, był smutny; mówił o sobie, spowiadał się z wielu rzeczy, o których nie miał zwyczaju mówić, i sam się dziwił dla czego ta panna poważna i spokojna mimowolnie budziła w nim taką ochotę do zwierzeń niezwykłych. I opowiedział jej zmiany zaszłe w swoich usposobieniach, mówił o melancholii która go niekiedy ogarniała, o czczości jaką czuł wszędy i o potrzebie spokoju i o postanowionem przedłużeniu pobytu w Mantino. Potem mówił o niej, wyznał że oprócz sympatyi żywej dla niej, podziwiał niezmienny jej dobry humor i pogodę wśród jednostajnego życia, chociaż wyższy jej umysł i wysokie ukształcenie mogłyby innego zapragnąć życia.

— A jednak wątpię, czy pani jesteś szczeźliwą...

— Jestem nią owszem, odpowiedziała. Poprzestawanie na małem, przeświadczenie że się czyni to co jest naszą powinością i przywiązanie do osób nas otaczających, wystarczają do szczęścia.

— Ale za pozwoleniem... Więc pani nigdy się nie nudzi?

— Bardzo rzadko. Nie mam na to czasu. Jak wreszcie się nudzić, gdy otaczają nas osoby kochane, gdy one dają nam wszelką wolność, i gdy mamy trochę zieloności i kwiatów, dużo książek i fortepian w kącie pokoju?

— Przyzna pani jednak, że samym przykładem swego życia, w okrutny sposób upokarza nas wszystkich innych,

co poszukujem uciech, zabaw i rozrywek, i pośród nich kapitalnie się nudzimy?

— Nie pomyślałam o tem, odpowiedziała śmiejąc się Konstancya, i wierzaj pan, bynajmniej nie mam zamiaru mieć panu za złe...

— Przepraszam, że pani przerywam. Wierzę pani najzupełniej; niemniej atoli czuję pewne upokorzenie... Pozwoli mi pani mówić swobodnie. Pani jeśt zadowoloną z ciszy jednostajnej życia, która dla drugich byłaby nieustannemi nudami. My przeciwnie mamy wszystko co wielu uważa za żywioły wszelakiej szczęśliwości. mamy bogactwo i niezależność, mamy tysiące dróg przed sobą i możem wybierać tę która się nam bardziej podoba; mamy wszelkie rozrywki i możność porzucenia ich gdy znudzą i możem żyć jak chcemy, poważnie lub wesoło, słowem mamy wszelkie środki do zabicia czasu i uniknienia nudów; a jednak nudy często nas trapią: mamy wszystko żeby być szczęśliwymi, a jednak szczęśliwymi być nie umiemy! A co gorsza, wina jest nasza, i mówiąc o tem stajem się śmiesznymi, jak ja jestem śmiesznym w tej chwili, i jeżeli nikt nie może nas zrozumieć, to jedynie dla tego że głupota nie ma prawa być rozumianą!

— O! Jesteś pan zbyt dla siebie surowym; przewiduję albo raczej odgaduję prawdę w tem co pan twierdzi, i nie zdaje mi się żeby ona była tak dziwną jak pan sądzisz. Jestem przekonaną, że szczęście zależy właściwie od nas samych, i że stan naszej duszy... Ale nie powiem nic więcej, mogłabym się wydać sensatką.

— Bynajmniej, niech pani owszem mówi, usilnie proszę! Pierwszą panią słyszę tak mówiącą, chociaż pani miałaby wszelkie prawo mówić zgoła inaczej. Mogłaby pani być surową, a przeciwnie jest pobłażliwą: mogłaby

szyderczo śmiać się z tego com miał odwagę jej powiedzieć, a przeciwnie pani rozumie mię i wskazuje prawdziwe pobudki. Proszę, niech pani dalej mówi.

— Ależ ja nie mam nic już do powiedzenia, śmiejąc się odpowiedziała dziewica. Cóż miałabym dodać? Rady? Z pewnością nie mam prawa ich dawać, i nie umiałabym nawet.

— Jakto nie ma pani prawa? Przeciwnie, pani jedna masz prawo. Pozwoli mi pani zrobić wyznanie: od nikogo nie przyjąłbym tak chętnie rad jak od pani. A przedewszystkiem raczy pani powiedzieć, czy pochwala moje postanowienie pozostania tu czas pewien?

Konstancya poraz pierwszy od czasu jak Ryszard ją poznał, zarumieniła się nieco i spuściła oczy, jakby myśląc nad odpowiedzią: po chwili jednak podniosła je, i odpowiedziała otwarcie, z uśmiechem:

— Nie mówiąc już o przyjemności jaką mi sprawia towarzystwo pana, i mając tylko jego samego na względzie, powiem. skoro pan chce wiedzieć moje zdanie, że uczyni dobrze. Nic tak nie ucisza i nie rozpogadza duszy jak wieś i spokojność. I gdy później pan odjedzie, życie wyda mu się przyjemniejsze, świeższe, nowsze, a owoce własnych rozmyślań pańskich w tych czasach ciszy i spokojności będą stokroć pożyteczniejszemi niż moje rady, bo doprawdy—dodała śmiejąc się—śmiesznem jest że pozwalam sobie udzielać je panu.

— Bynajmniej, bynajmniej; jestem owszem bardzo pani wdzięcznym, panno Konstancyo. I pragnąłbym żebyś pani zawsze mi ich udzielała.

— Może wiek mój daje mi do tego prawo, odparła wesoło, bo jestem od pana starszą.

— Nie sądzę...

— Względnie biorąc rzeczy, z pewnością.

W tej chwili jednak rozmowę przerwał Michaś, który przyszedł oznajmić, że mama się obudziła. Ryszard wstał, ścisnął rękę Konstancyi i odszedł.

Zaledwie uszedłszy kilka kroków w ogrodzie spojrzał na zegarek: była jedenasta. Czas upłynął z dziwną szybkością. Powrócił do domu pieszo jak przyszedł. Księżyc ukrył się za obłokami i pokazywał tylko blady odblask swego bladego światła. Powietrze było ciepłe, lekki wietrzyk poruszał wierzchołki drzew rysujących się na tle jasnego nieba. Ryszard szedł rzeźkim krokiem i czuł w duszy spokój i zadowolenie jakiego oddawna nie doznawał.

ROZDZIAŁ V.

Nieobecność malarza przedłużyła się bardziej niż pani Gerardi i Konstancya oczekiwały. Mianowany prezesem komissyi mającej sądzić wystawione obrazy, nie mógł odmówić. Upłynęło tak dwa miesiące. Była to nieobecność znacznie dłuższa niż zwykle, i bardzo go znudziła. W rodzinie brata złożył wszystkie swoje uczucia, pośród niej odpoczywał po trudach i mozołach życia. Na zimę panie Gerardi osiadały w stolicy, ale przez całą piękną porę roku ciągle prawie przebywały w Mantino, i ilekroć malarz zmuszony był opuścić je na czas dłuższy, ciężar samotności gnębił go wśród zgiełku nawet i tłumu ludzi. Z drugiej zaś strony nie był bogatym i nie mógł nie oddalać się gdy interes tego wymagał. Nadto przewidywał że teraz częściej musi bywać nieobecnym z powodu przyjęcia róż-

nych zamówień, i kiedy po dwóch miesiącach wrócił do Mantino, pobyt jego na wsi miał trwać bardzo krótko.

Szczęściem bratowa zupełnie wyzdrowiała. Zdrową także była Konstancya; zdawało się jakby jeszcze wypiękniała, chociaż była teraz bledszą, zamyśloną, małomówną, nieco inną niż dawniej. Często miewała roztargnienia i nie zajmowała się już mnóstwem rzeczy, które dawniej ją bawiły.

Malarz śledził te zmiany z niespokojną bacznością przywiązania co chce wszystko zrozumieć lub przynajmniej odgadnąć. Kochał Konstancyę jak swojego wcześnie utraconego brata, i ilekroć wrócił po dłuższej nieobecności, zawsze wypytywał o nią z wielką troskliwością.

Nazajutrz po powrocie, wcześnie z rana wyszedłszy do ogrodu, zastał tam bratowę. Po zamienieniu zwykłych powitań, pani Gerardi odezwała się nagle:

— Czy wiesz, panie Antoni, że margrabia wciąż tu jeszcze bawi?

— Salerio?

— Tak.

— I co on tu tak długo robi?

— Doprawdy nie umiem tego wytłomaczyć. Pewnem jest, że przez cały ten czas oddalał się ledwie dwa czy trzy razy i zawsze tylko na dni kilka. Widać zasmakował we wsi.

— I zwykle tu przychodzi?

— Codziennie.

Malarz i jego bratowa spojrzeli na siebie. Nagle myśl jedna powstała w głowie pana Antoniego. I po chwili zapytał:

— Więc dla Konstancyi?

I znowu patrzyli na siebie. Pani Gerardi odpowiedziała po namyśle:

— Zdaje się, że dla niej.

Pan Antoni spuścił głowę zamyślony i przechadzał się wolnym krokiem; pani Gerardi nie śmiała się odzywać. W końcu malarz rzekł:

— Niech bratowa opowie mi wszystko co przez ten czas zaszło.

Kobieta opowiedziała wszystko co mogła wiedzieć: że Salerio wciąż odkładał wyjazd z Mantino aż wreszcie postanowił pozostać; że zawsze, prawie codziennie przychodził; że Konstancya w początkach bardzo zimna, teraz przeciwnie wiele z nim rozmawiała, że on pożerał ją oczami i starał się rozmawiać z nią na osobności. Potem pani Gerardi dodała:

— Niecierpliwie oczekiwałam powrotu pana Antoniego; chciałam bowiem pomówić o tem, czego nie śmiałabym napisać. Potrzebuję rad brata.

Pan Antoni jednak nie chciał żadnych rad udzielać. Niezachwiane było jego postanowienie, że należy zostawić synowicy zupełną swobodę działania; niech ona sama rozstrzyga o tem co dla jej losu będzie najlepszem. Wszelako z niechęcią słuchał dalszych uwag bratowej, która acz nie pokazywała tego po sobie, była jednak w duchu arcy uszczęśliwiona myślą, że Salerio zakochany jest w jej córce i że Konstancya zostanie margrabiną.

Malarz przeciwnie miał pod tym względem swoje własne opinie, które jedni nazwaliby staroświeckiemi a drudzy przedwczesnemi. A mianowicie nie chciał słyszeć o małżeństwie z kaprysu, lub tem bardziej z interesu, i żądał miłości obustronnej. Ryszard wydawał mu się zbyt młodym i płochym, malarz zaś zbyt dobrze znał swoją sy-

nowicę, żeby nie wiedział iż przepych życia w świetniejszem położeniu niż te w którem dotychczas zostawała, wcaleby jej nie uszczęśliwił, gdyby oddawszy rękę Ryszardowi, prędzej lub później spostrzegła że mąż względem niej zobojętniał. A malarz nie wierzył, że Salerio może był stałym w miłości. Z drugiej strony, artysta zupełne pokładał zaufanie w rozumie i charakterze synowicy: nie był jednak pewnym, czy serce jej pozostało obojętnem dla Saleria. Postanowił przeto baczniejszą dawać na nią uwagę, a rady udzielać wtedy tylko gdy się to nieodzownie potrzebnem okaże.

Po kilku dniach przekonał się, że nie myliła się bratowa. Ryszard nie zmienił swego obejścia; był szczerze zadowolony z powrotu malarza; przychodził jednak bardzo często. i długo na osobności z Konstancyą rozmawiał.

Często w krótkim przeciągu czasu mogą zajść wielkie zmiany, a dzieje się to zwykle wówczas gdy tego najmniej oczekujemy. Z tego powodu pan Antoni niezaraz spostrzegł zmianę w stosunkach między Ryszardem i Konstancyą; zaznaczywszy ją atoli, bez trudności poznał całą jej ważność; i mocno przywiązany do synowicy, stawał się coraz baczniejszym i ciekawszym.

Wróciwszy ze stolicy Ryszard ciągle przychodził do domu pani Gerardi. Im bardziej poznawał Konstancyę, tem żywiej go zajmowała, i tem ciekawiej usiłował poznać ją zupełnie. Choroba pani Gerardi nastręczyła mu sposobność widywania jej samej, a poważna dziewica wcale tego sam na sam nie unikała.

Razu jednego, pani Gerardi przychodząc już do zdrowia, powiedziała że miałaby ochotę zwiedzić pałac w Mantino; Ryszard pochwycił w lot to życzenie i zaprosił matkę i córkę aby raczyły nazajutrz przyjechać do jego majątku.

Od tego dnia zdawało się, że jego przyjacielskie stosunki z Konstancyę jeszcze poufniejszemi się stały. Dzień ten przepędzono bardzo mile. Przechadzano się w cienistych alejach, podziwiano piękne urządzenie ogrodu, zwiedzono pałac, zajrzano do sadu, i nawet do mieszkań czynszowników. Ekonom Jan z najpiękniejszym uśmiechem otwierając bramę ogrodu, powitał panie Gerardi wspaniałemi ukłonami, któremi jak sobie przypominał, zwykł był czcić „biedną panią margrabinę.“

Konstancya była w tym dniu wesołą; ciepłe słońce zdawało się rozjaśniać jej twarz spokojną, i z kolei jej spojrzenie zdawało się rozjaśniać twarze tych co na nią patrzyli. Chód jej był lżejszym, bardziej niż zwykle młodzieńczym, a duch jej zdawał się podwójnie cieszyć i radować wszystkiem co widziała, i niezwykle się tem zajmować. Uśmiech jej był swobodniejszy, serdeczniejszy i częstszy; byle co wywoływało go na usta. Ryszard tego jeszcze wieczora oddał paniom wizytę i zastał Konstancyę w tem samem usposobieniu duszy, uradowaną i ożywioną wesołością mile spędzonego poranku.

Od tego czasu Ryszard przychodził codziennie. Pogoda jednak duszy Konstancyi nie była trwałą; i po owym dniu niezwykłej wesołości nastały dni pewnej melancholii. Zdawało się prawie, że charakter Konstancyi nieco się zmienił. Ona, co zwykle miała jednostajny dobry humor, teraz przeciwnie łatwo przechodziła od wielkiego ożywienia do małomówności; niekiedy chciała się śmiać, częściej jednak była zamyśloną.

Pan Antoni milczał i na wszystko zwracał uwagę; niebawem też wyrobił sobie sąd prawdziwy. Ryszard kochał Konstancyę—to nie ulegało wątpliwości. Żeby się o tem przekonać dość było widzieć go, gdy zdala od niej

patrzał na nią, lub słyszeć głos jego gdy do niej zwracał mowę, a nadewszystko badać wyraz jego twarzy gdy sam na sam z nią rozmawiał. A przytem, jak inaczej wytłumaczyć to, że przedłużał pobyt swój w miejscu które z razu tak go nudziło? Jakaż różnica od owego czasu gdy błagał malarza, aby wieczorami przychodził do niego na gawędkę!

Pan Antoni nie mógł ocenić jak głęboką była ta miłość: nie mógł odgadnąć jak daleko ona zaprowadzi Ryszarda; nie wątpił jednak że ta miłość istniała. Cóż jednak na to Konstancya? Tu duch spostrzegawczy stryja wpadł na rozdroże. Niewątpliwie, niezwykłe jej smutne zadumy, szybkie przemiany humoru, twarz bledsza ale i piękniejsza niż zwykle, żywa sympatya jaką Ryszardowi okazywała, serdecznie przyjacielskie z nim obchodzenie się, mogły być uważane za symptomata miłości; ale z drugiej strony Konstancya zawsze zachowywała tę pewność siebie, która była głównym rysem jej charakteru; a przytem często i z wielką spokojnością Konstancya mówiła o blizkim a stanowczym odjeździe Ryszarda. Prócz tego pan Antoni nie przypuszczał, że Konstancya, jeśliby jej serce było rzeczywiście zajęte, nie zasięgnęłaby jego rad z zaufaniem nieograniczonem które zawsze mu okazywała. Malarz tak wysoko cenił jej rozum, jej zdrowy rozsądek i szczerość duszy, że wszelkie udzielanie rad uważał za zbyteczne; ale z drugiej strony widząc ją smutną, zadawał sobie przymus żeby nie rozpytać jej i nie zawołać: powiedz mi wszystko! Gdyby mógł bez natrętnego wdzierania się w tajniki jej serca, powiedzieć jakie słowo pociechy, z pewnością byłby to uczynił. Konstancya jednak ani półsłówkiem nie dała mu do tego zachęty—i stryj rad nierad musiał szanować jej milczenie.

Ona w samotności swego pokoju usiłowała zbadać i zrozumieć własne uczucia, i dokazać tego nie mogła; ale uczucia te niekiedy objawiały się, silniejsze od jej woli. Nie było wątpliwości, że od pierwszego dnia w którym Ryszard ukazał się w ich domu, nowy żywioł wszedł do życia Konstancyi. Zbudziły się w niej pewne wyobrażenia, w głowie przemknęło tysiące myśli które ją zdumiewały. Zdawało jej się, że jakieś głosy szepczą do ucha niepokojąc ową pogodną i zadowoloną rezygnacyę jej życia, którą Ryszard tak podziwiał. Jej spojrzenia do owego czasu zawsze wesołe w zamkniętym widnokręgu, teraz mimowolnie smutniały wybiegając za ten widnokrąg i gubiąc się w różanych krainach, których oddawna już nie zwiedzały. Mgliste nadzieje dorastającej dziewicy, pierwsze niewyraźne marzenia, pragnienia łagodnie tłumione, budziły się w niej znowu i ukazywały się w smutnej postaci rzeczy powabnych i uśmiechających się, a oddawna pogrążonych w toni zapomnienia. Wspomnienia ku którym poprzednio z wesołością myśli swe zwracała, teraz ją zasmucały, chociaż powodu odgadnąć nie mogła. Ofiary których dawniej nie wymagała od swej duszy, teraz w całej swej wielkości uparcie stawały jej przed oczyma, i jakby nieświadomie porównywała to czem była z tem czemby być mogła.

Dla czego tak często wracały jej teraz na myśl zapominane obietnice pierwszych lat młodzieńczych? Przypominała sobie czasy szczęśliwe, gdy ojciec żył jeszcze i gdy byli bogatszymi: wieczory tańcujące niecierpliwie oczekiwane a wesoło przepędzane; drobny tryumf pierwszego wyjścia na świat; przyjaciółki ówczesne które teraz już wszystkie zapewne zmieniły nazwiska. I myślą wracała do wykwintnego saloniku w stolicy, gdzie mile przepędza-

ła wieczory; a potem nagle czarny kir pokrył wszystko; nastały straszne dni krótkiej ale fatalnej choroby ojca i srogi widok jego śmierci. Od owego czasu wszystko się zmieniło; należało opuścić piękne mieszkanie lat szczęśliwych; przenieść się do wiejskiego domku który niegdyś był skromnym zbytkiem rodziny, i wracać na zimę do mieszkania stryja, który wtedy pracownię swoją przemieniał w sypialnię.

Jak się jednak wyżej powiedziało, Konstancya była zadowolona z życia jednostajnego i ze spokojną rezygnacyą godziła się z myślą, że nigdy już tego życia nie zmieni; dla czegoż więc teraz wracały jej tak często na myśl dni upłynione w szczęściu, dla czego — po raz pierwszy —nie śmiała z poprzedniem zaufaniem rzucić spojrzenia w przyszłość?

I panu Antoniemu zdawało się, że zaszła pewna zmiana w Konstancyi od czasu jak zaczął bywać Salerio. I jemu przychodziły do głowy pewne myśli które zrazu odpychał, ale które z większą wracały natarczywością, w miarę jak się pobyt Ryszarda przedłużał. Jak przykro było stryjowi że musiał się oddalić! A nie można było inaczej. Odjeżdżać nie powiedziawszy Konstancyi ani słówka o tem co mu najbardziej ciążyło na sercu; odjeżdżać nie otrzymawszy jej zwierzeń, i nie wiedząc czy ma się lękać o nią lub też mieć nadzieję! — W oznaczonym dniu wyjechał: i żegnając Konstancyę pocałował ją w czoło czulej niż zwykle, ujął jej ręce i mocno je ścisnął: nic sobie jednak nie powiedzieli.

Podczas swej nieobecności w domu, malarz nie mógł oderwać myśli od Konstancyi; i wciąż w wyobraźni swojej roił jaką zastanie za powrotem, który usiłował ile możności przyspieszyć. Nakoniec po załatwieniu spraw pilniej-

szych, nadszedł dzień powrotu. Gdy malarz zbliżył się do bramy ogródka, którą zawsze z radością w duszy otwierał, tym razem uczuł mocne wzruszenie. Stare jego serce silnie biło. Po takiej niecierpliwości teraz bał się prawie wejść. Szybko przeszedłszy ogród, zastał na progu bratowę z miną poważną, bardzo poważną. Kobieta ścisnęła mu rękę i rzekła:

— Dziś rano odjechał.

Tym razem pan Antoni nie pytał kto odjechał.

— Był mocno wzruszony, dodała pani Gerardi, chociaż nie chciał tego okazywać.

— A Konstancya?

— Pożegnała go jakby nic, spokojnie; ale zaledwie odjechał, pobiegła na górę i zamknęła się w swoim pokoju.

Malarz pochmurniał.

— Nie trzeba jej przeszkadzać...

I to mówiąc wszedł do bawialnego pokoju, usiadł i przez długi czas pozostawał zamyślony i milczący. Pani Gerardi szanowała to milczenie, które dopiero wejście Konstancyi przerwało. Dziewica była bledszą niż zwykle a usta jej zdawały się drgać nerwowo; z pogodnych jej oczu jednak nie możnaby wnosić że płakała. Pan Antoni pocałował ją w czoło a ona rzekła:

— Jakże jestem rada, że stryj powrócił!

I nic więcej. O Ryszardzie ani słówka. Pan Antoni patrzył na nią długo i badawczo trzymając za rękę, potem znów ją pocałował, ale o nic nie pytał. I nie potrzebował wypytywać, teraz wszystko zrozumiał: ona go kochała

---

ROZDZIAŁ VI.

Ryszard jednak o tem nie wiedział. Niekiedy oddawał się nadziei, domyślał się nawet tego zbierając pewne wskazówki; częściej atoli smutnie przeczył Gdyby był wiedział że Konstancya go kocha, nie byłby odjechał.

Zwolna miłość ta zupełnie go owładnęła, z dniem każdym stawała się silniejszą, i jakto zawsze w takich razach bywa, zdawało się Ryszardowi że kocha poraz pierwszy. I być może nie mylił się; gdyż jego miłość ku hrabinie była zgoła inną! Do tamtej zalecał się zrazu z mody i z rozmysłu, a potem z przyzwyczajenia; miłość owa wspierała się na próżności; miłość ku Konstancyi przeciwnie powstała o własnych siłach i to siłach nieprzepartych. Tamta była gwałtowniejszą, ta mocniejszą: i lubo Ryszard nie wyznał tego jeszcze przed sobą, to jednak czuł i przewidywał, że nic zgoła ani nawet rady kuzyna Andrzeja, w tym razie nie miałyby na niego wpływu, i że jeśli rozłączenie się. wówczas tak trudne, teraz było łatwiejszem, to jednak nierównie trudniejszem i boleśniejszem było zapomnienie.

A przecież wyjechał ze wsi. W rzeczy samej Ryszard usiłował jeszcze przed sobą samym wypierać się tej miłości która zawładnęła nim całym, a nie miał już żadnego pozoru do przedłużania pobytu swego w Mantino. Sprawy dla których zrazu przyjechał, były wszystkie załatwione—rozumie się z wyjątkiem procesu z zarządem kościelnym, bo ten przewlekał się *ad calendas graecas*. Binetti już się nie naprzykrzał margrabiemu; upłynął także czas wyznaczony na rozmyślania w ciszy i samotności wiejskiej;

nakoniec położenie jego w domu pani Gerardi stawało się trudnem. Więc pojechał.

Ryszard jednak nie mógł ukryć tajemnicy swej duszy: powiedział Konstancyi wszystko co czuł dla niej, ale ona zmusiła go do milczenia i wymogła obietnicę że nigdy już o tem mówić jej nie będzie; słowem, Konstancya postąpiła tak, jakby go nie kochała, lubo (jak się już powiedziało) niektóre mimowolne poruszenia mogłyby ją zdradzić, a jej smutek, zmiana charakteru i bladość jej twarzy miały także niemą wymowę. Czyliżby nie powrócił Ryszard, gdyby widział Konstancyę w półgodziny po swoim odjeździe?

Nieraz Ryszard usiłował dociec, jakim sposobem zakochał się w Konstancyi, ale daremnie. Zawsze tak bywa. Miłość budzi się nieświadomie, (może w jednej chwili, może zwolna i stopniowo, tego nie wiemy), i często objawia się wówczas dopiero, gdy już jest panią człowieka. Kto może znać dokładnie godzinę, w której serce jego strzałą miłości było ugodzone? Kto może opowiedzieć jak się to stało? Kto może objaśnić przyczynę naszej słabości? dla czego, opierając się nieraz i sądząc że możem się jeszcze opierać, tym razem daliśmy się zwyciężyć? Kto do tego popycha, kto pociąga? Nie wiemy: błoga tajemnica spełnia się fatalnie sama przez się; i jeżeli niekiedy widzimy jej wspólników w przezroczach niebios, w ciepłych słońca promieniach i w miłych błękitach widnokręgu, nigdy jednak nie możem zdybać niewidzialnego a potężnego bożka w chwili, gdy łuczek napina i strzałę wypuszcza.

Ryszard osądził, że najlepiej uczyni gdy odjedzie, i miał odwagę to zrobić. Konstancya zaś, jakeśmy widzieli nie zdradziła się do ostatniej chwili. Młody człowiek wrócił do stolicy, zobaczył się znowu ze swoim kuzynem, hrabią

Andrzejem, ale z niczem mu się nie zwierzył; potrzebował zamknąć się w sobie i z własnemi pozostać myślami.

Ryszard doskonale rozumiał, że Konstancya była, że tak powiemy, kobietą wyjątkową; zdumiewał się jednak że mogą istnieć takie kobiety. Zdawało mu się, że gdyby zdołał wzbudzić w niej wzajemność, to miałby większy dla siebie samego szacunek. O taką wzajemność warto się było dobijać. W tym spokoju pogodnym a zrezygnowanym Konstancyi Ryszard przewidywał skarby czułości i miłości.

Oddalenie nie zdołało oderwać jego myśli od niej. Owszem, każdy dzień zamiast osłabić umacniał i potęgował wspomnienie dni długich, razem przepędzonych — a tak szybko znikłych. I coraz wyrazistszą stawała się w nim zmiana, którąśmy już zaznaczyli. Umysł jego otwierał się dla nieznanych jeszcze idei spokoju i skupienia ducha. I niekiedy już uśmiechał się do niego obraz cichego życia rodzinnego, którego słodycze przeczuwać zaczynał.

Życie w zgiełku i gwarze, liczne towarzystwa, zabawy do późnej nocy—wszystko to wydawało mu się czczem, mdłem i głupiem; i mimowoli miał przed oczyma obraz czarowny cichego a majestatycznego spokoju miłości, życia we dwoje, dni jednakich a pogodnych. Poco biedz zadyszany żeby znaleźć szczęśliwość, i po co jej szukać na przeróżnych drogach? Czyliżby było prawdą, że szczęście samo przychodzi do tego kto umie na nie czekać? Byłożby prawdą, że najwięcej mylą się ci co z gorączkowym pośpiechem biegną naprzód mniemając że ścigają szczęście, a w rzeczy samej zostawiają je na uboczu, bo ono jest tam gdzie go nie szukają?

I w takich chwilach ukazywało mu się widzenie pełne prostoty; widział dom wiejski ocieniony zielonością drzew

i rozweselony rozmaitością kwiatów; widział w istocie swój własny dwór na wsi niedaleko od jeziora z którego wiatr donosił tysiące miłych woni; dwór cichy, rozkoszny, pełen świeżego cieniu i snopów światła przedzierających się przez liście. I zdawało mu się, że z Konstancyą, cudnie miłością upięknioną, przechadza się po cienistych alejach, i że budzi zazdrość w kwiatach których dotyka stąpając.

Kiedy tak poważniały jego myśli, serce się odmładzało. Gdyby dawniej zakochał się był w Konstancyi, niewątpliwie nazwałby to kaprysem, śmiałby się szydząc z samego siebie, starałby się zapomnieć o tem uczuciu dziecinnem, i możeby tego dokazał; teraz przeciwnie przyjmował poezyę złudzenia, miłość ta ukazywała mu się jako jedynie prawdziwa i głęboka, wszystkie dawniejsze rozrywki i uciechy przedstawiały się jako czcze i błahe, i osądził, że bardziej męzką i godniejszą rzeczą było oddać się tej miłości niżeli się jej opierać. Na kilka lat przedtem taka miłość wydałaby mu się dzieciń每stwem, teraz przeciwnie czuł, że ona zbliżała go do stanowczej chwili w życiu: miłość ze swoją wiekuistą świeżością sprawiała mu bicia serca zdrowe i najmilsze, które w dwudziestym roku życia pewnieby chciał stłumić. Wówczas zwalczałby tę miłość żeby się nie okazać zbyt młodzieniaszkiem; jeśli zaś teraz się jej opierał, to jedynie z obawy, że nie jest jeszcze dość dojrzałym mężem.

I w istocie w chwilach rozwagi spokojnej zdawało mu się, że nie jest nim jeszcze. Kochał Konstancyę głęboko, o tem nie mógł wątpić, życie z nią wyobrażal sobie jako szczyt szczęśliwości, a jednak nie był pewnym czy zdoła wszystko dla niej poświęcić, i obawiał się czy miłość tak silna będzie trwałą. Zbyt często rozważał niestałość rze-

czy ludzkich, żeby nie miał wątpić o trwałości wszystkiego, nawet miłości najczystszej i najpotężniejszej.

Dlatego pojechał i nieledwie spodziewał się że może zapomni o Konstancyi, tembardziej że nie spodziewał się jej wzajemności. Często jednak serce zmuszało rozum do milczenia, a wtedy Ryszard cały oddawał się słodyczy tej nowej miłości, i musiał zadawać sobie wielki przymus, żeby nie wrócić do Mantino.

Niedługo się jednak opierał. Stolica nic go już nie zajmowała. Hrabina Alviano miała zawsze wielu wielbicieli, i mimo zazdrości męża, ciągnęła ich tłumy za swoim wozem tryumfalnym. Wszyscy u niej bywali, nawet sensat hrabia Andrzej. Wszystke to nudziło Ryszarda. Jednego wieczora nie mogąc już wytrzymać, pojechał, przybył do Mantino zgoła niespodzianie, zapowiedział ekonomowi Janowi, żeby nic o jego przyjeździe nie mówił, przez dwa dni nie widział się z Binettim i co dziwniejsza, nie poszedł do państwa Gerardi. Tak blizko niej, jeszcze się opierał. Jak zresztą wytłumaczyć jej swój powrót a nie powiedzieć wszystkiego, i nie wrócić do przedmiotu o którym mówić mu wzbroniła? I doznawał pewnej rozkoszy na myśl, że jest tak blizko niej a ona o tem nie wie. Biedny, był bardzo smutny.

A ona? Ona była jeszcze smutniejszą. O, gdyby wiedziała że wrócił! Od jego wyjazdu ciemności nocy zapadły na jej głowę. Matka i pan Antoni nic jej nie mówili o Ryszardzie. Konstancya zdumiona była że go tak kocha, bo ani chwili nie miała złudzeń. Od pierwszego dnia gdy w sercu jej powstało dla niego uczucie którego nigdy nie znała, od tego dnia zrobiła w duchu ofiarę z budzącej się miłości. Nie mogła utaić przed sobą że już samo widywanie go i rozmawianie z nim było zgoła niepotrze-

bnem, ale sobie mówiła, że przecie Ryszard odjedzie, że w danym dniu ją opuści, że ten nowy żywioł jej życia zniknie, i że wszystko wróci do dawnego stanu, z wyjątkiem spokoju jej serca.

I lubo Konstancya o tem wiedziała i tego oczekiwała, to jednak zdało jej się, że nagle przeniesiona została na pustynię, gdy Ryszard naprawdę odjechał! I zaraz wyobraziła sobie, że wcale nie wiedziała o tem iż on ma kiedy odjechać!

Pewnego dnia, wkrótce po odjeździe Ryszarda, pan Antoni wszedł do bawialnego pokoju z listem w ręku i podając go synowicy powiedział poważnym tonem:

— Konstancyo! to do ciebie pisane.

Dziewica mocno zarumieniła się biorąc list i przeczytała go w milczeniu. Matka i stryj nie pytali od kogo ten list, ona nie dała im go do przeczytania: a jednak mogłaby to bezpiecznie uczynić. List był długi, przyjacielski; Ryszard rozpytywał w nim o jej zdrowie, o jej familię, dawał wiadomości o sobie i kończył ukłonami i pozdrowieniami dla jej matki i dla pana Antoniego. Konstancya nie miała odwagi i tego im nawet powiedzieć.

W liście tym nie było ani słówka o miłości; a jednak dziewica długo przyciskała go do piersi i zdawało się jej, że to dotknięcie ją pali. Ileż razy przeczytała go i wpatrywała się w to pismo! A potem, żeby dotrzymać danego sobie przyrzeczenia i koniecznie zapomnieć o Ryszardzie, postanowiła nie czytać już tego listu i rzucić go w ogień. Wprzód jednak przeczytała raz ostatni i — nie spaliła.

Tymczasem lato stawało się coraz gorętszem. We dnie musiano siedzieć w pokoju przy spuszczonych sztorach, i dopiero pod wieczór używano świeżego powietrza. O tej

porze dnia Konstancya wychodziła sama do ogrodu, siadała na ławce pod grubem drzewem z rozłożystemi konarami i ze smutnym uśmiechem, skrzyżowawszy ręce na piersi, dumała o tem, o czem sobie myśleć wzbraniała.

Jednego wieczora siedząc tak usłyszała szelest przy bramie, obejrzała się i nic nie zobaczyła. Zapewne gałęź uderzyła o żelazną sztachetę. Konstancya zapadła znowu w zadumę, i nie spostrzegała jak czas upływał. Śliczna jej twarz posępniała smutkiem i w końcu grube łzy zwisnęły z rzęs i padły na policzki. Wtedy, mimowolnym ruchem, Konstancya wyjęła list, przeczytała go jeszcze, pocałowała, i nagle ulegając słabości serca dręczonego smutkiem, rzewnie zapłakała.

W tem usłyszała cichy szelest, tym razem bardzo blizko i tuż za sobą. Wstrząsnęła się i obejrzała. Jak mogła powstrzymać krzyk który się wydzierał z jej piersi? Zbladła i musiała rękami wesprzeć się na ławce. U nóg jej klęczał Ryszard.

Młody człowiek ujął jej rękę i długo okrywał pocałunkami.

Słów mu brakło. I on także nie był w stanie przemówić; ale trzymając jej rękę patrzył w jej twarz cudownie piękną. Ona chciałaby uniknąć jego spojrzeń, ale nie mogła, pozostała nieruchoma, osłupiała, jakby zaczarowana.

— Dla czego pani płacze? odezwał się w końcu Ryszard. Co za papier trzyma pani w ręku? A! Mój list. I pani cierpisz także? Więc mię trochę kochasz? Powiedziałaś pani że nie, i odjechałem; ale to było daremne, nie mogłem pani zapomnieć i nigdy nie zdołam. Nie wiem dla czego tu przyszedłem; nie będąc wzajemnie kochanym powinienem był wrócić do dawnego życia, do czczego i głupiego życia, z którego pani jedna tylko możesz mię

wyrwać. Przyszedłem zobaczyć panią raz jeszcze i potem pójść sobie z uśmiechem na twarzy a smutkiem w duszy. Teraz wszystko się zmienia. Pani ma trochę współczucia i przyjaźni dla mnie, więc mogę powiedzieć, że panią kocham i że zawsze ubóstwiać będę. I rozumie się, pozostaję tu, nie odjadę już. Bo i dokąd i po co, gdy tu całe moje szczęście?

Tymczasem Konstancya oprzytomniała, usunęła rękę z jego dłoni, i uzbroiła się w całe męztwo, żeby mówić spokojnie, zimno i przekonać Ryszarda, że i on powinien chłodno rozważyć położenie. Tajemnica jej serca, owa tajemnica którą tak smutnie pogrzebać chciała w zapomnieniu najgłębszem, mimowolnie się wykryła. Dziewica czuła że ją słodkie znużenie miłości ogarnia, i przyzywała całą moc duszy, aby się oprzeć prądom które już miały ją unosić. Czytelniczki zapytają może, dla czego ten opór, czego się obawiała? Skoro kochała wzajemnie, dla czego odpychać szczęście? Czyżby dla tego tylko żeby nie powiedziano o niej, że się powodowała ambicyą, chęcią zostania bogatą margrabiną? Przecie Ryszard mógł podobać się osobiście, któżby więc powątpiewał o jej miłości wzajemnej? Czemuż przeto opierała się szczęściu?

Konstancya miała do tego ważny powód, a powód ten sam, który niepokoił pana Antoniego, tylko że dziewica nierównie żywiej go czuła. Oto poprostu nie wierzyła w głębokość miłości Ryszarda, a dobrze wiedziała, iż kochałaby go zbyt mocno aby mogła później znieść boleść opuszczenia. Jak mógł niespodziania pokochać ją tak silnie, że wszystko składał u stóp jej w ofierze? Nie byłaż to miłość przygodnia, miłość z nudów, co jak ogień ze słomy zapłonie nagle jasnym płomieniem i niebawem zgaśnie?

Wszystko to dziewica powiedziała młodemu człowiekowi otwarcie, ale tym głosem słodkiej perswazyi który chwytał go za serce.

On ujął znowu jej rękę, a ona jej nie cofnęła.

— Panie Ryszardzie, dodała w końcu, zostaw mię w teraźniejszem mojem położeniu. Mówiłam panu, że w tej spokojności i ciszy zdołałam znaleźć szczęście. Nie ukazuj mi innej szczęśliwości, której przyjąć nie mogę.

— Ależ ja kocham panią do szaleństwa a i pani przecie mię kocha.

— Wcale tego panu nie powiedziałam. Choćbym jednak powiedziała, na co się to przyda? Skoro pan chcesz wiedzieć wszystko, więc powiem. Mówić będę z zupełną szczerością i otwartością. Pan zaledwie o parę lat jesteś odemnie starszym: czyż więc nie widzisz, żeś w porównaniu ze mną jeszcze dziecko? Powiadasz pan, że mię kochasz. Nie przeczę temu. Powiedz jednak otwarcie, jak długo potrwa twoja miłość? A przytem, mamże sama objaśniać i tłumaczyć panu tę nagłą miłość? Była to dla pana chwila wypoczynku, może po przykrem znużeniu, i rozmiłowałeś się we wsi, w jej życiu cichem i pogodnem, którego może dotychczas nie znałeś, i w takiem usposobieniu duszy wydałam ci się piękną ozdobą tego cichego krajobrazu.

— Ależ zupełnie przeciwnie! przerwał Ryszard. Wieś podobała mi się wówczas dopiero kiedym panią zobaczył.

— Pozwól mi pan mówić dalej...

— Pani jest zbyt surową, nieledwie niesprawiedliwą...

— Nie sądzę. Czyliż nie sam pan wyznałeś mi żeś potrzebował spokojności? A więc dotychczas jej nie miałeś. Z upływem pięknej pory roku, sam ten spoczynek naprzy-

krzy się panu i zapragniesz powrócić do dawnego burzliwego życia. Masz pan wszystkie drogi przed sobą otwarte. I wejdziesz na którą zechcesz, a gdzie ja wówczas będę? Czy mnie sobie przypomnisz? Nie przerywaj mi pan. Być może, przypomnisz mię sobie, jak blady spłowiały obrazek swojej przeszłości, i wtedy będziesz pan szczęśliwy z zachowanej swobody, i może nawet poczujesz trochę dla mnie wdzięczności za te otwarte słowa które cię teraz zasmucają.

— Panno Konstancyo!

— Sądzisz pan może, dodała dziewica spuszczając oczy; że mówiąc tak sama nic nie cierpię? Pomimo pogodnego zadowolenia, które tak we mnie podziwiasz, pomimo czułego przywiązania jakie mię otacza, czy sądzisz pan, że i ja nie przewidywałam innej szczęśliwości? Mam jednak moc zrzec się jej, gdyż wiem że jest niemożliwą. Przeciwnie, nie miałabym dość mocy by przeżyć osiągnięte już szczęście, jeśliby mi je potem odebrano. Jedź pan więc, powtarzam, i zostaw mię jaką jestem. Teraz kiedym powiedziała wszystko, skoroś pan tego chciał, kiedym duszę swoją otworzyła przed twojemi spojrzeniami, miejżeż tyle szlachetności i spełnij co żądam: nie staraj się już mnie widywać, bo widywać się potem com powiedziała nie możemy... przynajmniej teraz. Później, za kilka miesięcy, gdy zapomnisz pan o mnie...

— Panno Konstancyo, jak pani masz serce wymawiać słowa tak okrutne? Ja miałbym zapomnieć o pani!

— Gdy przynajmniej zapomnisz pan o swojej miłości. Wtedy wrócisz jako przyjaciel i z radością ścisnę pana rękę.

— Ależ pani, chciej zrozumieć, że ja nie mogę wyrzec się tej miłości, i że daremnie byłoby chcieć stawiać opór!

— A jeśli ja pana o to proszę, jeśli błagam i zaklinam? Pierwsza to rzecz której od pana żądam.

— I jedyna której odmówić powinienem.

— Nie, nie odmówisz pan, bo sam pojmujesz, że w gruncie rzeczy mam słuszność. A przytem, wszakże raz prosiłeś mię pan o rądy? Teraz ośmielam się udzielić ich panu. Odjeżdżaj, podróżuj. Jesteś pan w obłędzie. Muszę cię sama ocalić. Taka moja powinność.

— Nie pani, nie możesz tego uczynić! zawołał Ryszard ściskając jej ręce i miłośnie patrząc w oczy.

Dziewica czuła oddech przyśpieszony, i zdało się jej na chwilę, że mrok zaćmił jej oczy; serce zaczęło ulegać, i mimowolnie ścisnęła jego ręce. Opierała się jednak jeszcze, i odzyskawszy moc duszy, zawołała:

— Tak, mogę, bo to moja powinność!

— To nie jest pani powinnością, nie masz pani do tego prawa. Teraz do mnie głos należy. Wysłuchałem pani, wiem wszystko co pani chciała mi powiedzieć, a zresztą sądzi może pani, żem jej dobrze nie zrozumiał? Na wszystkie jej zarzuty odpowiadam to tylko: kocham panią, ubóstwiam i żyć bez niej nie mogę! Moja miłość ku pani jest gorącą jak pierwsza namiętność, a głęboką jak ostatnia. Czuję to, i przysięgam pani że się nie mylę. O, gdybyś pani wiedziała, jak mi są wstrętnemi uczucia przelotne i czcze życie jakie dotychczas wiodłem! Poznałem wszystkie jego ułudy, i już mi nie wzruszą serca, które właściwie dotychczas nie żyło, a pragnie żyć i żyć musi. A pani właśnie całe je zapełnia, pani nauczała je bić uczuciem czystem i wzniosłem. Niechże więc pani nie puszcza z rąk sposobności do dobrego czynu! Pani ukazała mi się jak anioł zbawczy i opiekuńczy: przyjmij więc piękne zadanie które Niebo spełnić ci przeznacza! Nie wierzy pani w trwa-

łość mej miłości, powątpiewa o mojej stałości? Więc może ją pani wystawić na próbę. Niech pani mną rozporządza, będę umiał być posłusznym. Będę czekał, jeśli taka pani wola, niech pani oznaczy czas, ale niech mnie nie odpycha. O, panno Konstancyo, kto kocha tak jak ja panią, ten nie może przestać kochać!...

Dziewica walczyła z sobą; serce jej biło tak silnie że omało nie pękło. Wsparłszy się plecami o pień drzewa, przymknęła powieki. I z siłą nadludzką probowała zatrzymać uciekającą moc duszy; chciałaby mówić, chciałaby przerwać mu, skłonić go do milczenia, a nie mogła, bo jego słowa przekonywały ją i zwyciężały.

Nakoniec Ryszard umilkł, ale wciąż jeszcze klęczał u nóg Konstancyi i patrzył jej w oczy: zdawało się że spojrzeniami chciał przeniknąć do głębi jej duszy. Cisza panowała głęboka, nawet wietrzyk nie zaszeleścił w gałązkach. Niebo było wspaniale zasiane gwiazdami, ale księżyc się ukrywał. Dziewica straciła pamięć, obie ręce opuściła w dłonie Ryszarda, i patrzyła mu w oczy i nie zdumiewała się już, że u jej nóg klęczy.

Nagle rozległy się stąpania po zwirowej ścieżce ogrodu. Kochankowie drgnęli.

— Idź pan! Już poźno, rzekła Konstancya.

— Nie odejdę, odpowiedział Ryszard wstając, dopóki mi pani nie powie że mnie kocha i że mogę mieć nadzieję.

— Idź pan, powiedziałam już wszystko, powiedziałam więcej niżbym powinna, zaklinam pana, zostaw mię samą!

— Nie, niech wprzód pani powie że mię kocha.

— Wiesz pan już o tem, ale miej trochę litości!.. Odejdź!

ROZDZIAŁ VII.

Ktoby po pewnym czasie od tego wieczora widział Konstancyę, ten chociażby o niczem nie wiedział, zrozumiałby zaraz że coś ważnego w jej życiu zaszło. Na twarzy jej malowała się walka wewnętrzna którą stoczyła i jeszcze staczała, pomimo połowicznego zwycięztwa które serce odniosło. Była blada, rysy twarzy miały pewną sztywność która z pewnością jej nie upiększała; ale oczy były jaśniejące, jakby tryskały z nich promienie. Można było odgadnąć, że nowy żywioł wszedł do jej życia i że jej myśli nie zamykały się już w ciasnych ścianach domowych i że wybiegały w dalekie krainy, w które dawniej nie chciała się zagłębiać. Można to było poznać nawet nie zwracając uwagi na złotą obrączkę, która zdobiła palec jej prawej ręki. Dziewica po długim oporze przyjęła tę obrączkę, nie tyle jako obietnicę, ile raczej jako pamiątkę. Innego dowodu zmienionego położenia przyjąć od niego nie chciała.

Konstancya opowiedziała wszystko panu Antoniemu i matce; obiecawszy jednak swoją rękę Ryszardowi, nie chciała żeby się formalnie o nią oświadczył i żeby był przed światem uważanym za jej narzeczonego, chociaż tego gorąco margrabia pragnął.

Malarz otwarcie rozmówił się z synowicą i otrzymał jej zwierzenia. Jak zwykle bywało, tak i tym razem myśli ich się zgodziły; te same obawy niepokoiły obojga, melancholia stryja odbijała się w smutku synowicy. Pan Antoni rad był z tego, że zostawił jej zupełną wolność działania i teraz w zupełności postępowanie jej pochwalił.

Ona jednak sądziła że będzie silniejszą. Jej miłość odsłoniła się Ryszardowi, bo nie była w stanie jej utaić, a choćby nawet utaiła, czyżby długo mogła ją ukrywać widując Ryszarda? Cała słabość niewieścia ukazała się jej niespodzianie.

A jednak chociaż serce zwyciężyło, dziewica nie oddawała się nadziejom nowego położenia. Jak słodką przecież byłaby sama myśl o urzeczywistnieniu takiego marzenia! Wszystkie pragnienia w głębi duszy zamknięte, wszystkie życzenia dotychczas poskramiane, teraz razem tłumnie wracały do ataku. Jak można było się oprzeć urokowi takiego widzenia? Widzieć młodość swoją upływającą bez dotrzymania obietnic jutrzenki, a potem nagle, gdy się już nic nie oczekuje, mieć przed oczyma obraz całej szczęśliwości której się wyrzekło; patrzyć na zmartwychwstanie wszystkich pogrzebionych nadziei, i być świadkiem przemieniania się marzeń w rzeczywistość!

Co do Ryszarda, on nie wątpił o niczem zgoła, powziął postanowienie, co prawda w chwili miłosnego uniesienia, ale zdrowy rozsądek przy chłodnym rozmyśle w zupełności je zatwierdził. Młody człowiek niczego się nie obawiał: przyszłość ukazywała mu się jasna i pogodna; inna zresztą wydawała mu się nie możliwą. Dni, tygodnie upływały, a im dojrzalej rozważał swoje zamiary, tem bardziej był z nich zadowolonym. Kochał całą potęgą duszy, jak nigdy jeszcze, kochał miłością silną i zarazem spokojną, bez wstrząśnień, bez bolów i bez powątpiewań. Dla niego nie istniała owa kropelka piołunu, co się zawsze miesza z nektarem namiętności. Śmiało mógłby przyrównać swoją miłość do cichego, przezroczystego i głębokiego jeziora, którego zwierciadlaną powierzchnię lekkie tylko zefiry czasami pomarszczą. Konstancya nie była dla niego, jak

się często zdarza, wcieleniem własnych marzeń; przeciwnie była kobietą jakiej sobie nigdy nie wyobrażał, ale która raz spotkana, wszystkie inne w cień usuwa i płomienistą pięknością rzeczywistości objawionej rozprasza najmilsze nawet widziadła.

Myśl o pożyciu z nią dozgonnem wydawała mu się tak dalece obrazem szczęśliwości prawdziwej, że nie podobna mu już było opierać się, lubo istniały jeszcze różne ważne do oporu pobudki, które dawniej za wyborne uważał. Z uśmiechem robił teraz ofiarę ze swej niezależności kawalerskiej i z miłości własnej, która niedawno jeszcze gotowa do oporu, teraz czuła się bezsilną.

Dziewica z powątpiewaniem i pewnym przestrachem szła na spotkanie swojego nowego losu; młody człowiek przeciwnie szedł ku niemu uradowany i pogodny, pewien siebie i przyszłości, i przekonywając się w ciągu czasu który wyznaczyła na próbę, że ma wolę niezachwianą, że miłość jego ciągle wzrasta a cel życia jest pewnym.

Lato które razem przepędzili, należało do tych co się nie dadzą zapomnieć. Dni upływały spokojne i promieniste zarazem. Każdego poranku Ryszard budząc się odkrywał nową jakąś zaletę w swojem wiejskiem mieszkaniu, i zawsze długo rozmawiał z ekonomem Janem, który nie posiadał się z radości widząc że panicz tak długi czas bawi na wsi. Rządca Binetti nie mówił już margrabiemu o processie z zarządem kościelnym, młody pan bowiem był bardziej niż kiedykolwiek roztargnionym, ale też i częściej niż zwykle się uśmiechał.

Potem margrabia szedł do domu państwa Gerardi, gdzie nic się nie zmieniło, z wyjątkiem że Ryszard serdeczniej ściskał rękę Konstancyi. Pan Antoni zmuszony często jeździć do stolicy, gdy mógł pozostać na wsi, przedłużał

tu pobyt i jednakowym był zawsze w obejściu z Ryszardem. Pani Gerardi przyjmowała go teraz z nietajoną radością. Michaś także poczuł ku niemu nagle żywą sympatyę, i nieustannie zarzucał go pytaniami, na które niekiedy trudno było odpowiedzieć. Nieraz zdawało się Ryszardowi, że jest jeszcze w początkach znajomości, rozmowa bywała ogólną, często przeplataną miłemi dźwiękami fortepianu, częściej jednak kochankowie rozmawiali z sobą po cichu w kącie bawialnego pokoju lub w ogrodzie; tu ulubionem ich miejscem była ławka, na której dawniej Konstancya przesiadywała sama po całych godzinach. Ktoby wtedy powiedział, że kiedyś długo z nim razem przesiadywać tu będzie? Życie jej teraźniejsze było jakby rzeczywistością romansu.

O, szczęśliwości owych błogich godzin! Opowiedzieć ciebie niepodobna. Kto cię zaznał kiedy w swem życiu, ten niech zapyta swoich wspomnień; kto nie znał, nie mógłby ciebie zrozumieć. Można opisać upojenie namiętności gwałtownych; ale jak odmalować błogi spokój szczęścia?

Ryszard czuł że żyje poraz pierwszy. Co do jego miłości ku hrabinie—jedynej z którąby można robić porównanie—rozwiewała się ona jak dym w obec tej nowej miłości. Jakże zupełnem i stanowczem było zwycięztwo teraźniejszości nad przeszłością! Tymczasem lato upływało dla niego zwolna, a dla niej bardzo prędko; bo on był niecierpliwym a ona bojaźliwą. Gdy liście zaczęły żółknąć, te pierwsze oznaki zbliżającej się jesieni napełniły go radością żywszą od tej jakiej kiedykolwiek doznał za zbliżeniem się wiosny, która przecie jest obrazem wiekuistej młodości; ona przeciwnie uczuła w duszy smutek dotych-

czas nieznany; i na chwilę w ustawicznem chwianiu się między nadzieją i trwogą, bojaźń przeważyła.

A jednak Konstancya miała wszelkie powody niczego się nie lękać; Ryszard bowiem zawsze był jednaki, i nawet z dniem każdym bardziej ją kochał; i nietylko nie wątpił, ale nawet był pewnym, że zwyciężko wyjdzie z próby. I porównywając drogę teraz obraną z projektami na przyszłość układanemi przed kilką jeszcze miesiącami, sam zdumiewał się nad zaszłą w sobie zmianą; ale był tem uszczęśliwiony. Wprzódy zajmowało go życie światowe i zadowolenie próżności; najmniej zaś wtedy myślał o małżeństwie, które ukazywało mu się jako czyn prozaiczny, daleki i przedostatni na tej ziemi. Teraz przeciwnie miłość wiodła go wprost do tego kresu, i oświeciwszy go swoim promieniem nieśmiertelnym ukazywała mu małżeństwo zupełnie inaczej. Małżeństwo było teraz cichem i spokojnem uwieńczeniem życia, było przyszłością jedynie pożądaną, było portem zbawienia, zabezpieczonym od burz światowych a ogrzanym promieniami słońca miłości.

Nastała jesień. Niebo zaczynało stawać się szarem i jednostajnem, promienie słońca bladły; w miejsce żywych barw zielonych i błękitnych, nastawały czerwone i płowe z różnemi odmianami; stoki wzgórzy pokrywały się jakby rdzą czerwoną, zieloność stawała się ciemniejszą i w wielu miejscach żółkła. Ciepło zmniejszało się i piękne dni nie bywały już nagle przerywane burzą z grzmotami, piorunami i ulewą. Jeśli czasem niebo się zachmurzyło, słyszałeś tylko w dali głuchy huk grzmotów, niby stłumioną wrzawę licznych wojsk pierzchających, a potem padał deszcz rzęsisty ale spokójny. Powietrze stawało się wilgotnem i chłodnem, wiatr pędzący z gór dalekich strugami deszczu bił w szyby okien; a wtedy w pokoju bawialnym u pani Gerardi milczano, patrzono na deszcz i kiedyniekiedy

zwracano spojrzenie na ognisko kominka od ostatniej zimy zgaśnięte.

Jesień jest sympatyczniejszą, słodszą i milszą, ale nie dla wszystkich,—dla tych jedynie, co ją pojmować umieją. Ryszard i Konstancya byli jednak w takiem usposobieniu duszy, że mogli najlepiej czuć i rozumieć żywą a smętną ej poezyę. Jesień mówiła jemu o miłości i o pogodnej szczęśliwości przyszłej, a jej o nadziei i o życiu nowem. Kiedy już Konstancya zaczęła przyzwyczajać się do żółknienia liści, tej oznaki zbliżającej się zimy, zamiast się trwożyć jak z początku, teraz z żywszą nadzieją patrzyła w przyszłość, umacniało bowiem jej odwagę postępowanie Ryszarda.

Czasami zwolna otwierali żelazną bramę ogrodu i wychodzili na przechadzkę po polach. Nigdzie prawie żywej duszy, gościńce puste, droga równa, powietrze łagodne. Zrzadka tylko spotkali wieśniaka zdrzemniętego na wozie, krzywo ciągnionym przez konia szukającego trawy; lub też dziewczynkę, która wicią kierując stadko gęsi witała ich kiwnieniem głowy szybkiem i zarazem bojaźliwem. Trawa na łąkach tu i owdzie miała odcienie barwy miedzianej, gromadki drzew widziane z dali zdawały się być pozłocone, a daleki profil gór rysował się ciemniej na zbladłym błękicie niebios.

Zdawało się, że przyroda używała teraz palety bogatszej w żywe i jaskrawe barwy. Październik który jest zachodem pięknej pory roku, miewa piękności wspaniałe zachodzącego słońca, w którego blasku krajobraz najjednostajniejszy wydaje się miłym i malowniczym. Światło słoneczne, już nie olśniewające, nie fałszuje barwy, wszystko powraca i ukazuje się w prawdziwej postaci swojej. Strumyki płyną przezroczyste nie odbijając już promieni słoń-

ca, zarysy białych chatek wyraźniej się ukazują na brunatnem tle wzgórzy, kręte ścieżki w polu widoczniejszemi się stają, opadłe liście tu i owdzie tworzą naturalne kobierce, którym ostatnie promienie łagodnego słońca nadają barwę złotawą.

Kochankowie podziwiali te rzeczy, jakby ich nigdy jeszcze nie widzieli. Było jedno miejsce do którego szczególny czuli pociąg, i kroki ich mimowolnie tam się kierowały. Szło się czas pewien między dwoma żywopłotami,—dróżką, która nagle przemieniała się w rozstajną drogę, jedną odnogą niknąc w polu, drugą wznosząc się na łagodną wyniosłość wzgórza. W miarę jak się wstępowało na pagórek, ukazywała się coraz wyraźniej inna droga, prawie równoległa; potem rozszerzała się i skręcała nagle jakby pasem otaczając pagórek. Tu na szczycie, w cieniu trzech drzew, widziało się, że ta druga droga w rzeczy samej kończyła się u spadzistej skały nad przepaścią, po za którą ukazywała się na dole rozległa równina. Nad samym brzegiem przepaści leżał kamień ogromny mchem pokryty. Ileż razy siadali tu kochankowie trzymając się za ręce, i ile wyszeptali słów słodkich słyszanych jedynie przez rozłożyste drzewo o którego pień się wspierali! Częściej jednak milczeli, wiedząc dobrze, że ich myśli się łączyły, i spojrzenia ich tonęły w dalekich obłokach widnokręgu, a dalej niż spojrzenia wybiegała wyobraźnia; później jednak spotykały się ich oczy, a z niemi umysły i serca.

Najczęściej jednak wszyscy razem wybierali się na przechadzkę i niekiedy dla odpoczynku wstępowali do dworu w Mantiuo. Stary Jan zawsze wybiegał na ich spotkanie z najniższemi ukłonami. rządca Binetti także, ale niby przypadkiem, wychodził na dziedziniec i grzecznie witał; dziwna rzecz jednak!—Konstancya zawsze była smutną po

tych wizytach. I rada byłaby tam nie chodzić, chociaż nie chciała pokazać, że nie lubi tam bywać.

Jednego razu, gdy się przechadzali po alejach ogrodu w Mantino, Ryszard z panią Gerardi, a nieco dalej za niemi pan Antoni z Konstancyą, malarz zatrzymał się i patrząc na dwór w którego otwartych oknach widać było wnętrze pokojów, rzekł do synowicy:

— Na przyszły rok będziesz tu panią.

— Wierzysz temu stryju? odpowiedziała z westchnieniem.

— A ty może wątpisz o tem?

— Mniej od pewnego czasu; owszem jestem pewna że stanie się to na co zezwoliłam, ale wtedy gdy mnie tu nie będzie; niech tylko stawię nogę w tym ogrodzie, zaraz mi się zdaje, że to niemożliwe. To co gdzieindziej wydaje mi sią rzeczywistością bardzo blizką, tu przedstawia mi się jako senna mara.

I wistocie dziewica pozostała smutną do dnia następnego i nie ukazał się już na jej ustach uśmiech zaufania który teraz zwykle rozjaśniał tę twarz prześliczną.

Ryszard przeciwnie coraz bardziej był rozkochanym w swoim dworze, teraz gdy nie mógł przejść przez jego pokoje, żeby zaraz nie pomyśleć, że wkrótce nie będzie tu już samotnym. Miałby wielką ochotę poradzić się Konstancyi co do zmian i upiększeń jakie należałoby w tym dworze zaprowadzić; ale dotychczas nie śmiał tego uczynić, i sam nie wiedział dla czego.

Za to częściej rozmawiał z Binettim o zamierzonych restauracyach we dworze Razu jednego, przy obiedzie na który często zapraszał rządcę, Ryszard odezwał się po krótkiem milczeniu:

— Gdyby się to dało przenieść bilard do sali narożnej, a z sali bilardowej zrobić wielki salon środkowy usuwając kolumny...

— Usuwając kolumny! Ależ panie margrabio, zkąd ta myśl dziwna? Kolumny podtrzymują połowę domu! A przytem należałoby przerobić całe sklepienie.

— Może pan masz i racyę...

I margrabia się zamyślił. Rozmowa urwała się. Potem Binetti przerwał długie milczenie.

— Panie margrabio...

— Cóż?...

— Nakoniec ksiądz proboszcz odwiedził mię dzisiaj...

— A, doprawdy?

— Z pewnością. I wiele mi prawił o naszym procesie, ale mało zrozumiałem; to jest doskonale rozumiałem wyrazy, ale sensu... ukrytego sensu który w nich być musiał (bo ci ludzie nigdy nie mówią tego co mówią) słowem prawdziwego znaczenia nie mogłem dociec...

— A, już wiem! Bilard przeniesiemy do sali zielonej; salon utworzy się z połączonych dwóch sal środkowych, a w teraźniejszej sali bilardowej zostawimy kolumny... Później, gdy wygramy proces, jak pan zdaje się mówiłeś przed chwilą, to przerobię całe lewe skrzydło dworu i przedłużę je do tarasu...

W końcu Ryszard ośmielił się mówić o tych rzeczach i z Konstancyą. Dziewica zaczynała na prawdę czuć się szczęśliwą; zaufanie zwolna rosło w jej sercu i każdy dzień je powiększał. Bądź co bądź, zbliżano się do owego kresu do którego dojść zawsze zdawało się jej niemożliwem; kres ten wciąż był bliższym; ów punkcik daleki, drobny, mgłą okryty, nagle się teraz rozjaśnił i jakby urósł; sen

niewyraźny przybierał kształty i stawał się rzeczywistością.

Przed niedawnym jeszcze czasem, jakże zdumiewałoby Ryszarda życie które teraz prowadził! Rzadko bywał w stolicy, zapomniał o rzeczach które najbardziej go zajmowały, zaniedbał znajomości i przyjaciół. Czas upływał jednostajnie, ale szybko. Zimna już dawały się uczuwać; zbliżała się chwila w której świat modny wracał do stolicy i rozpocząć się miały znów zabawy przez letnią porę przerwane.

O hrabinie nic już Ryszard nie wiedział, i zupełnie o niej zapomniał. Kuzyn Andrzej odwiedził go i długo z nim rozmawiał o zaszłej zmianie, o jego postanowieniu i zamiarach.

Hrabia Andrzej potrząsał głową; nie zdawało mu się prawdą, żeby w czasie tak krótkim mogła zajść zmiana tak rdzenna w charakterze, w upodobaniach i po części nawet w wyobrażeniach kuzyna. Nie zdawało mu się żeby uczucie zrodzone tak nagle mogło być trwałem; i usiłował skłonić Ryszarda aby się strzegł przed sobą samym i dobrze się zastanowił wprzód nim poweźmie tak ważne postanowienie.

Ryszard jednak umiał być wymownym w obronie swej sprawy. Opowiedział cały swój spokojny i sielankowy romans, od początku do końca; mówił, jak usiłował o nim zapomnieć, jak Konstancya stawiała opór, jak pięknym i szlachetnym był charakter tej panny, i z jaką godnością i bezinteressownością względem niego postępowała: Andrzej nie mógł nie uwierzyć temu, a uwierzywszy podziwiał. Portret Konstancyi na fotografii bardzo mu się podobał; to spojrzenie i ten uśmiech nie mogły kłamać. Ryszard zresztą miał za sobą przemawiające inne jeszcze fa

kta. Od długiego czasu prowadził życie, do którego przed kilką miesiącami zdawał się nie być zdolnym. Czyliż Konstancya nie wystawiła go na próbę, i czyliż nie był blizkim zwycięzkiego z niej wyjścia?

I dodał inne jeszcze argumenty które czytelnicy już znają. Wykazał jak się mu naprzykrzyło dawne życie i jak go znudziły łatwe miłostki i kapryśne tryumfy.

— Rozumiem to, rzekł hrabia Andrzej; ale jest pewna osoba, o której może zanadto zapominasz.

— Kto taki?

— Hrabina.

— Hrabina?... Masz racyę, zupełnie o niej zapomniałem. Nie jestże to najlepszym dowodem...

— Tak; czy jednak jesteś pewnym, że jej sobie później nie przypomnisz?

— Najpewniejszym. A to po co? Jestem doskonale wyleczony z tej namiętności, a fortelów hrabiny się nie boję. Znam je aż nadto dobrze.

— A więc tym ci lepiej.

Nastała chwila milczenia. Potem hrabia Andrzej odezwał się znowu:

— Nie pytałeś mnie nic o hrabinę, a mógłbym ci wiele rzeczy o niej opowiedzieć.

— Nie ciekawym, nic mnie to nie obchodzi, a zresztą nie mam czasu.

I w istocie nic go już nie interessowało: on żył tylko w Mantino. Gdy odjeżdżał, serce, umysł, dusza cała tam pozostawały.

I zaczynało mu już ciążyć milczenie które nakazała Konstancya; radby opowiedział wszystkim swoją szczęśliwość i głosił ją wszędy. Stawał się niecierpliwym. Gdy poranek był chłodniejszym od dnia poprzedniego, sprawiało

mu to wielką przyjemność; miał dowód, że czas upływa i że się zbliża oczekiwana z tęsknotą chwila. I poczuwał w sobie szczególną jakąś życzliwość dla wszystkich i skłonność do wynurzania swych uczuć; jednego razu o mało nie uściskał Binettego i nie opowiedział mu wszystkiego czem miał przepełnione serce. Wierny jednak swemu przyrzeczeniu milczał. Jednemu tylko kuzynowi Andrzejowi zwierzyłby tajemnice swego serca. Niekiedy uśmiechając się myślał o wrażeniu jakie sprawiłaby wiadomość o jego małżeństwie między licznemi dalekiemi krewnemi, i o rozczarowaniu jakiego doznałaby niejedna panienka z arystokratycznego świata, która w marzeniach swoich może ku niemu zwracała oczy.

A przytem nietylko kochał, ale i coraz bardziej podziwiał Konstancyę.

Jeżeli była w niej pewna oryginalność, to zawsze wolna od przesady i nienaturalności. W sposobie jej ubierania się, chociaż bardzo prostym, w postawie, w obejściu, w poruszeniach głowy, w rozmaitych a zwykłych jej pozach, w całej jej osobie widoczną była indywidualność wyrazista, niepospolita którą trzeba było mimowolnie podziwiać. W tłumie pięknych kobiet, ona tak skromna i spokojna, zaraz się wyróżniała od innych. W dodatku miłość która zawsze przedziwnie upięknia kobietę, obudziła w niej chęć podobania się, i od pewnego czasu Konstancya staranniej niż zwykle zajmowała się strojami.

Jak też piękną wydawała się Ryszardowi! I doprawdy stała się teraz jeszcze piękniejszą. Wszystkie skarby ukryte w jej duszy, przez czas tak długi trzymane w cieniu, teraz odsłaniały się i jaśniały na jej twarzy, przezierały oczyma które zdawały się być teraz i większe i zarazem jakby zamglone, wyrażały się w rysach twarzy harmonij-

niej nakreślonych, w cerze milszej, w poruszeniach nawet i w całej osobie. Konstancya była jakby kwiatem, którego kielich, pod wpływem promieni słonecznych, nagle listki swe wspaniale roztwiera.

ROZDZIAŁ VIII.

Jak wszystko przemija, tak i ta jesień przeminęła, i nastała zima wraz z którą upływał termin wyznaczony przez Konstancyę. Zbliżał się dzień w którym miało być nieodwołalnie powzięte postanowienie, a Ryszard nie chciał już słyszeć o nowych zwłokach. Był też w najgorszym humorze, gdy się dowiedział o przyjeździe swego wuja, z którym wypadało się widzieć, żeby ile możności naprawić niedarowany błąd jaki popełnił nie zawiadamiając go dotychczas o zamierzonem małżeństwie; wypadało wysłuchać szyderstw których stary ten kawaler pewnie mu nie oszczędzi z powodu powziętego tak nagle postanowienia: wypadało wreszcie pozostawać z nim dopóki nie odjedzie.

Hrabia Jan Jakób Vanelli, brat matki Ryszarda, musiał mieć teraz (według obliczeń jego współczesnych) lat około siedmdziesięciu; był jednak, jak sam chętnie o sobie mówił, ulepiony z mocnej gliny, i z małą różnicą, żył i teraz jeszcze wesoło i po kawalersku jak za lat młodzieńczych. Ileż to rzeczy pamiętał i z jakiem opowiadał je upodobaniem! Ilu to ludzi znał, w ilu przygodach miał udział, ilu wszelakich przemian był świadkiem! Potroszę nawet i sam się zmienił! Na portrecie z r. 1820, nie miał jeszcze zaro-

stu, ale miał nad czołem las czarnych włosów, miał oczy żywe z jowialnym wyrazem spojrzenia, miał rysy twarzy regularne lubo nieco ostre. Później, za Ludwika Filipa. był jednym z najbardziej znanych hulaków, lwów salonowych, smakoszów i trochę artystów, których wyrodnemi synami są dzisiejsze *zdechlaczki nagumowane*. Znał się dobrze z hrabią Orsay i jak on nosił faworyty i umiejętnie naśladował mody angielskie. Wielu pamięta jeszcze jego ówczesne szalone kawałki. Potem nastał rok 1848 a z nim krótkotrwała rzeczpospolita z modami swobodniejszemi. i z sumiastemi wąsami. Polityką wcale się nie zajmował, ale to mu nie przeszkodziło walczyć w bitwie pod Nowarą, jako adjutant jenerała dowodzącego, i mieć ubitego pod sobą konia.

Zdawało się że lata upływając zaledwie dotykały hrabiego Vanelli, tak ciągle pozostawał młodym. Zdrowie miał żelazne i umiał żyć. Miał już lat pięćdziesiąt kilka, gdy będąc w Nizzy podbił serce pewnej pani z arystokratycznego świata i uciekł z nią ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich, a wiecznemu umartwieniu swoich rywali, którzy poprzednio mówili o nim jako o przyjacielu swych ojców. Prawdę mówiąc, piękna księżna prędko go sobie sprzykrzyła, ale i on łatwo się po niej pocieszył. Teraz, w chwili gdy go widzimy, sam przyznawał że zaczyna się starzeć; ale pomimo szpakowatych włosów, jeszcze się podobał. Zapuścił brodę lecz ją starannie utrzymywał i ubierał się z powściągliwą wytwornością człowieka. co ma nieomylny zmysł dobrego smaku i umie, chociaż już nie młody, być wykwintnym a jednak nie wpadać w śmieszność. Był jeszcze bogaty, gdyż umiał nietylko w porę zatrzymać się nad brzegiem przepaści, ku której biegł w początkach swego hulaszczego zawodu, ale nadto do-

brze swoim majątkiem zarządzać i wydatki do dochodów stosować. Wiele podróżował. i Ryszard bardzo rzadko go widywał.

Przyjechawszy do stolicy, Vanelli stanął w hotelu i zawiadomił siostrzeńca o swoim przyjeździe. Ryszard zastał go w pokoju na pierwszem piętrze otoczonego skrzynkami które pokojowiec otwierał. Przeszło od roku nie widział wuja, ale powitany został jakby się wczoraj widzieli.

— A, to ty, Ryszardzie? No jakże się miewasz?

— Dziękuję, zdrów jestem, a wuj?

— Jak widzisz. Zawsze jednaki, tylko niezmiernie rozzłoszczony na te skrzynie których nie podobna otworzyć. Piotrze, idź po ślusarza, niech licho porwie takie zamki!

— A cóż jest w tych skrzyniach? spytał Ryszard.

— Abo ja wiem! Przeróżne rzeczy które kupiłem nie pamiętam już kiedy. i kazałem tu wyprawić. Tamta skrzynka w kącie pokoju, w której zdaje mi się są różne rośliny, stoi tu już od półroku. Ale... mówmy o tobie. Widzę żeś utył. Co u dyabła porabiasz?

Tymczasem pokojowiec zdołał otworzyć skrzynię z książkami. i wuj wyjmował z niej książki jedne po drugich. i otrzepywał z kurzu.

Ryszard pomyślał, że najlepiej będzie, jak to mówią. skoczyć prosto z mostu.

— Co porabiam? Nic dotychczas; ale wuj pewnie się zdumi, gdy powiem co zrobić zamierzam.

— Nieprawdaż że piękne te edycye lipskie? Cóż tedy zamierzasz zrobić?

— Ożenić się.

Wuj upuścił piękną edycyę lipską, wstał, oparł obie ręce na ramionach siostrzeńca, bystro spojrzał mu w oczy, i zawołał:

— Coś ty powiedział?

— Że się żenię, powtórzył spokojnie Ryszard. I muszę cię przeprosić kochany wuju, żem ci nic dotychczas o tem nie mówił, i że nie zasięgając twojej rady powziąłem postanowienie. Codzień zabierałem się pisać do wuja... ale wiem kochany wuju, że jesteś tak dobry...

— I cóż mi to szkodzi, żeś mnie o tem nie zawiadomił? Owszem, najlepiej do ostatniej chwili odkładać wyznanie tak kapitalnego głupstwa!

— Wistocie, jeśli mam prawdę powiedzieć, nie miałem śmiałości...

— Widzę z przyjemnością, że masz jeszcze trochę wstydu; spodziewam się także iż nie mówisz seryo.

— Przeciwnie, bardzo seryo, upewniam wuja.

— Zkąd ci się wzięło to zaślepienie? Bo dotychczas miałem cię za dorzecznego chłopca, a nawet wydawałeś mi się sto razy lepszym od młodzieży dzisiejszej, która doprawdy jest szkaradnie głupia, choć się nawet nie żeni. Więc to romans? Opowiedz.

Ryszard opowiadał a stary hrabia słuchając milczał i tylko czasami pogardliwie wzruszał ramionami.

Kiedy młody margrabia przestał mówić, wuj zawołał:

— Zapomniałeś powiedzieć mi rzeczy najważniejszej. Czy ładna?

Zamiast odpowiedzi Ryszard wyjął z kieszeni szary aksamitny futeralik i otworzywszy pokazał wujowi. Była to fotografia którą już pokazywał hrabiemu Andrzejowi. Stary elegant popatrzył z uwagą; uśmiechnął się i rzekł pocichu:

— Nie powiem żeby była doskonale piękną; jeśli jednak naprawdę się z nią ożenisz (o czem jeszcze trochę wątpię), to radzę ci szczerze: nie często zapraszaj mnie do swego domu! Większej pochwały dla jej piękności powiedziećbym nie umiał. A teraz mówmy seryo. Sprawa to bardzo poważna, nierównie poważniejsza niżbym przypuszczał, z twego bowiem opowiadania widzę, że to kobieta jakie się rzadko spotyka, istny biały kruk, lub jeśli wolisz, perła zielona. Charakter to niewieści, jakie się już nie zdarzają; ma szlachetność uczuć i godność prawdziwie rzadką. Przytem zakochana w tobie po uszy, sympatyczna, rozumna, dobrze wychowana (co jest istną osobliwością), słowem prawdziwa perła... Zresztą przymioty jej musisz znać lepiej odemnie. Ależ mój chłopcze, w twoich latach zawiązywać sobie los, poświęcać swoją niezależność? Aj, to nie fraszka! Mój drogi, ja umrę starym kawalerem, zawsze bowiem mi się zdawało że jeszcze nie pora na żeniaczkę, aż w końcu spostrzegłem że już nie pora. I nie skarżę się na to, bo mam w tobie poczciwego siostrzeńca któremu cały mój majątek zostawię.

— Dziękuję, wuju...

— Zamiast dziękować, powinienbyś raczej zrozumieć, że właśnie dla tego że ci dobrze życzę, nie podoba mi się że tracisz głowę i dla kaprysu zatruwasz sobie całe życie. Właśnie dla tego że owa panna jest tak dobrą i rozumną, powątpiewała długo o twojej stałości; ja przyznaję jej słuszność zupełną, i ty sam pomyśl, że bardzo łatwo możesz nieszczęśliwą ją uczynić. Ta lub owa może ci się później spodobać, może zawrócisz do jakiej dawnej miłostki, a ona będzie cierpiała... Cóż ty na to, hę?...

Ryszard oniemiał ze zdziwienia słysząc te słowa. Zgoła innej mowy oczekiwał po wuju. Był pewnym że usłyszy

żarciki, szyderstwa, i wykład starych teoryi kawalerskich; nigdy zaś nie przypuszczał, że jego krytyki będą tak trafne i rozsądne i że tak rozumnie i życzliwie oceni zalety Konstancyi. Wuj rozumiał tę miłość, ale ją ganił.

Hrabia Vanelli miał kilka dni tylko zabawić w mieście i Ryszard obiecał często go odwiedzać. Gdy jednak wyszedł z hotelu, odetchnął zadowolony, lubo pozostało mu jeszcze pewne niemiłe wrażenie słów wuja aż nadto zgodnych ze słowami kuzyna Andrzeja i z dawniejszemi swemi myślami. Powoli jednak wróciła zwykła pewność siebie. I czuł potrzebę przenieść się myślą do skromnego domku gdzie mieszkała ta co tak wielką zmianę sprawiła w jego wyobrażeniach; i wtedy serce jego napełniała słodycz, a w piersiach czuł hymn miłości który wszelki inny głos przytłumiał.

Przyszedłszy do swego mieszkania zapytał z roztargnieniem pokojowca:

— Baptysta, czy jest co nowego?

— Nic, panie margrabio, tylko list który położyłem na biurku.

Ryszard przeszedł kilka pokojów i wszedłszy do swego gabinetu w istocie zastał list na biurku. Wziął go do rąk, zdumiał się i długo patrzył na kopertę.

Nie mógł mieć wątpliwości: było to niepewne, arystokratyczne pismo hrabiny. Koperta jednak była z brzydkiego brudnego papieru i niekształtna, bez zwykłej cyfry hrabiowskiej. List ten przyniesiono z poczty, i probował przeczytać nazwę miejsca na pieczątce pocztowej, ale nie mógł. Spojrzał znów na adres: oczywiście było pismo hrabiny.

Mimowolnie uśmiechnął się ironicznie, i przez kilka minut patrzył na list nie zrywając koperty. Ktoby widział

ten uśmiech Ryszarda, tenby zaraz odgadł jakie myśli snuły mu się po głowie. Po sławnym liście który zastał w Paryżu w *Grand Hotel*, i który miał tak mało powodzenia, hrabina już do niego nie pisywała. A jednak ten nowy list świadczył, że miała złudzenia, że jeszcze wierzyła w swoją potęgę, że po owej pierwszej porażce nie była zwyciężoną i że znów teraz rozpoczyna walkę. Więc nie wiedziała, że zupełnie o niej zapomniał, a może w zarozumiałości niewieściej sądziła, że zapomnieć o niej niepodobna. Myśl, że mógł się zwrócić ku innej kobiecie widać nie przyszła jej do głowy, lub też miała tyle próżności, iż zdawało się jej że on na jedno jej skinienie zapomni o tej drugiej i w cień ją usunie.

Takiemi myślami zajęty Ryszard uśmiechał się coraz ironiczniej. Nie otwierając listu wiedział już potroszę co mógł zawierać. Aż nadto dobrze znał hrabiny sposób wkradania się do serca i pochlebiania próżności, jej biegłość w drobnych komedyach miłości, jej wykwintne przebiegi i nawet niewieście fortele stylu. Prawdopodobnie hrabina chciała go zaprządz jeszcze do swego tryumfalnego woza, chciała żeby wciąż patrzył na wzrastające jej powodzenie, i niedbale wyciągała ku niemu białą rączkę i wzywała żeby wrócił do jej salonów złocistych, pewna iż nie będzie zdolny odmówić.

Jedna atoli rzecz pozostała niewytłumaczoną. Dla czego tak brzydka koperta i tak brudny papier?

W końcu zerwał kopertę, otworzył list i czytał co następuje:

„Drogi mój przyjacielu,

„Zapewne już wiesz o wszystkiem; musi ci już być wiadomem, żem wpadła w przepaść. Nie potrzebnie więc opowiadałabym ci smutną historyę, chociaż może niejedno

byłoby do sprostowania w śmiesznych sposobach jakiemi jest opowiadana. Ale na co? Prawda i tak już jest dość brzydka, i potwarz niewiele do niej dodać może. A przytem zdawaćby się mogło, że chcę się usprawiedliwiać, gdy przeciwnie ja bym pragnęła wyspowiadać się przed tobą, powiedzieć ci, jak czuję się występną i nędzną, jak zasłona co mnie zaślepiała, nagle rozdarła się przed mojemi oczyma. Chcę żebyś mnie widział upokorzoną i pełną skruchy, abym mogła na odrobinę twego współczucia lub przynajmniej politowania zasłużyć.

„Przedewszystkiem jednak drogi przyjacielu, przeprosić cię muszę że ci się naprzykrzam tym listem, ja co nie mam do tego żadnego prawa... Jesteś jednak jedyną osobą, do której, jak mi się zdaję, mogę się w smutku moim i zmartwieniu zwrócić. Wiem jak jesteś dobrym, śmiem ufać twemu pobłażaniu, śmiem prosić cię o słowo, jedno słowo przyjaźni. Dla czego piszę do ciebie? Nie wiem. Czego spodziewam się od ciebie? Nic, prócz odrobiny współczucia. O, gdybyś wiedział jak mi smutno na duszy!

„Wybacz nieład moich myśli, piszę bez zastanowienia i wyślę ten list nieczytając go, bo przeczytawszy nie miałabym już odwagi posłać go.

„Co miałam począć potem co zaszło? Byłam jakby oszołomiona, i nie wiedziałam dokąd uciec i gdzie się schronić i ukryć. Nie podobna było wracać do mojej familii. Kto wie jakby mię tam przyjęto! W najlepszem nawet przypuszczeniu, musiałabym tam odgrywać rolę uległego dziecka, a do tego nie jestem usposobioną. Przytem czułam potrzebę samotności. I uciekłam z moją pokojówką Klementyną, uciekłam sama nie wiedząc dokąd: siadłam do wagonu i przybyłam tu, do P. do małego i nudnego miasteczka które znasz dobrze. Byłam prawie spo-

kojna i jakby rozespana; więc pozostałam tu. Dla czego? Nie wiem: może dla tego że nie wiem dokąd się udać. Bo w istocie nigdzie nie ma dla mnie miejsca. Tu jestem ukryta, nikt mnie nie zna, nikt o mnie nie wie, tu przynajmniej mam spokój. Jak długo tu posiedzę? I co się ze mną stanie? O, przyjacielu mój, (pozwolisz mi jeszcze tak cię nazywać, nie prawdaż?) gdybyś wiedział jak jestem zmienioną! Ile to rzeczy zaszło od czasu jakeśmy się rozstali! Ale nie mówmy o tem, przeszłość już umarła.

„Czuję że w tych dniach ostatnich stałam się inną kobietą. Zdaje mi się, że w skutku nagłego zmienienia sceny, każda rzecz ukazuje mi się w innem świetle. Dziś patrzę na życie z poważnej strony. O, jakże opłakuję wszystkie moje szaleństwa i wszystkie błędy! Jak zazdroszczę tym kobietom, co umiały iść prostą drogą i nie potknąć się i zachować stanowisko jakie ich stan im przeznaczył! Jak za wszystko srodze ukaraną zostałam!

„I nic nie zachować z ruiny przeszłości, ani uczucia, ani podpory! Ja, niedawno jeszcze otaczana tylu hołdami, nagle opuszczona zostałam przez wszystkich, usunięta, odepchnięta, i wkrótce może zupełnie zapomniana! Moja familia jest nieubłagana i zrzędna, a w tłumie wielbicieli którzy mnie nie odstępowali, ani jednego przyjaciela! Nie wspominam już o tych na których głównie spada wina za moje nieszczęście. Na nich wcale nie liczyłam.

„I nikt mi nie poda ręki! Wszak wybaczysz Ryszardzie, jeśli cię błagam żebyś ty mi ją podał? Głos tajemny tchnie we mnie zaufanie i szepcze, że mnie nie odepchniesz. Na widnokręgu mojego życia jesteś jedynym punktem co mi się nie ukazuje czarny. Może się mylę, może śmiem za wiele się spodziewać? Gdy pomyślę ile względem ciebie zawiniłam, gdy pomyślę że nie mam żadnego

zgoła prawa do twojego szacunku, zdaje mi się, że słusznie mógłbyś mnie odepchnąć, i prawie nie śmiem dalej pisać; ale zaraz przypominam sobie twoją dobroć, twój wzniosły sposób myślenia i szlachetność twojego serca, i znowu nadzieja wstępuje do mej duszy.

„Na miłość boską, niech te słowa w błąd cię nie wprowadzą: mam dobrą pamięć. Otwarcie i szczerze powiadam, że bynajmniej nie odwołuję się do przeszłości. Przeciwnie rumienię się za nią, i pierwsza cię błagam żebyś o niej zapomniał. Nie, nie! Piszę tylko do przyjaciela z prośbą żeby za złe odpłacił dobrem, żeby podał rękę istocie upadłej, a zapomniał o tem co mogło go obrazić. Tak postępując zrobisz czyn wielki i wspaniałomyślny, dla wszystkich nieznany, ale który niemniej nie pozostanie bez nagrody i za który ja wdzięczną ci będę do śmierci. Wiem że proszę cię o rzecz nie małą; ale właśnie dla tego udaję się do ciebie. Twoja piękna dusza nie cofnie się przed czynem tak pięknym.

Piszę to w szkaradnej izbie w oberży, i wszystko mię tu otaczające bardziej tylko mię zasmuca. Wyjechałam jak waryatka, i brak mi wszystkich owych rzeczy zbytecznych, które się stały dla mnie nieodzownie potrzebnemi. Mam pióro które z pewnością nie było przeznaczone do pisania; o papierze nie mówię, sam go osądzisz. Piszę ten list na kulawym stoliku opartym o ścianę przy oknie, które pozornie zdaje się być zamknięte. Przed oczyma mam rynek z kawiarnią, przed którą stoją miejscowi eleganci i rozprawiają o polityce. Smutno mi i nudno. Ktoby mi to przepowiedział przed kilką miesiącami? Ktoby przypuszczał, że aż do tego ze mną przyjdzie?

„Czuję, że jedno słowo twoje byłoby dla mnie wielkiem dobrodziejstwem. Nie odmawiaj że mi go, zaklinam na

wszystko! I jeślibym śmiała, to bym o coś więcej jeszcze cię prosiła. Nie wiem co teraz porabiasz i jakie masz stosunki; oddawna nic o tobie nie słyszałam. Mówiono mi tylko, że wróciwszy z zagranicy, udałeś się na wieś, i że zamierzałeś dłuższy czas tam pozostać, podobno dla uporządkowania interesów majątkowych. Jeżeli więc nic tak bardzo cię tam nie zatrzymuje, jeżeli to nie zrobi ci wielkiej subjekcyi, jeżeliś mi przebaczył i nie boisz się znudzić ze mną, to przyjeżdżaj, przyjeżdzaj choćby na godzinkę, choćby tylko podać mi rękę. Powtarzam, tylem względem ciebie zawiniła, że to o co cię proszę, nie jest małą rzeczą. Ale jesteś szlachetnym i rozumnym, i wszystko pojmiesz. Dowiodłeś, żeś o mnie zupełnie zapomniał; czy wraz z zapomnieniem jest i trochę przebaczenia? — Ty co znasz nasze życie, nasze towarzystwo i marność rzeczy światowych, z pewnością musisz nad niemi się litować; i jeśli nie czujesz ku mnie nienawiści, możesz mię obdarzyć odrobiną tego o co cię błagam, odrobiną twojej przyjaźni. A ponieważ cię szanuję, więc proszę cię o to wręcz, otwarcie i prawie mam nadzieję że mi nie odmówisz.

„Tyle rzeczy miałabym do powiedzenia! Zdaje mi się, że gdybyś tu był, usta by mi się nie zamknęły, i mogłabym mówić kilka godzin bez przerwy.

„Nie wspomnę o przeszłości, lubo mogłabym wiele rzeczy przedstawić w prawdziwem świetle, i wyznać ci jak często opłakuję owe dni... Ale widzę, że nie dotrzymuję obietnicy którą sobie samej dałam, i której z pewnością zażądasz odemnie. Bądź jednak spokojny; mówić ci będę tylko o teraźniejszości, bardzo smutnej, i trochę o przyszłości.

„Przyszłość! Jak ona różna od tej którą dawniej przewidywałam! Teraz jest czarna, strasznie czarna. Pragnę

samotności, zrzekam się wszystkich uciech tego świata... A! Pewnie teraz uśmiechasz się ironicznie. Otóż pokażę ci że jestem szczerą. Lub może masz słuszność, i to mnie bardziej zasmuca. Wszystko na tym świecie przemija, i może minie mój teraźniejszy smutek i może rozproszą się chmury co mię dziś otaczają. Może będę wesołą i bezmyślną jak dawniej, a może gorzej jeszcze. Kto to wie? Miałażbym kiedy spaść jeszcze niżej? Widzisz, że nic przed tobą nie ukrywam. I czemu nie, skoro nie mam żadnej podpory? A jednak ręka przyjacielska możeby zdołała mię wesprzeć i na dobrej utrzymać drodze? Powtarzam ci, w głowie mi się mąci, nic już nie wiem, nic jasno nie widzę, stan mój okropny. Wszystko dokoła mnie się zapada. Wyciągam rękę żeby się czego uczepić, i znajduję próżnię. Jak mi potrzebne są dobre rady! Rady człowieka, coby myślał za mnie, coby mną kierował, coby mi wskazał dobrą drogę, coby wyrwał ze smutnej otrętwiałej bezczynności, w którą coraz głębiej zapadam. Pragnę spokoju, a nie umiem o niczem myśleć. A jednak potrzebuję oddziaływać przeciw tej bezwładności, potrzebuję coś przedsięwziąć, powziąć jakieś postanowienie.

„Co powiedziałeś dowiedziawszy się o mojej smutnej przygodzie?... Mój Boże, jak to już dawno!... Dreszcze mnie przejmują gdy pomyślę o wszystkiah plotkach ludzi których jestem dziś pośmiewiskiem. Plotkarze nie posiadają się zapewne z radości. A może i ty śmiałeś się z drugimi, może... nie, nie napiszę smutnej myśli która mi się teraz nasuwa.

„I czytając ten list, czy będziesz życzliwym dla mnie? Może nie, może naprawdę mię nienawidzisz. A więc nigdzie już nie ma dla mnie nadziei? Gdybyś mi jednak

przebaczył, gdybyś zechciał przybyć tu, byłaby to dla mnie niewysłowiona pociecha; myślę że zapomniałabym o smutnem mojem położeniu widząc że nie wszyscy mię odepchnęli.

„Nudzę się tu okropnie, a nie wiem kiedy zdecyduję się porzucić to przypadkowe miejsce schronienia. Przybyłam tu wieczorem w najniegodziwszą słotę, śnieg padał z deszczem. Mój wyjazd był prawdziwą ucieczką. Klementyna zapakowała co mogła w jeden kufer, ja owinęłam się szalem, wzięłam worek podróżny i w drogę! Na stacyi dano nam powóz którego koń albo szedł stępa albo puszczał się cwałem, i jakoś dowiózł nas do oberży pod *Zielonym Krzyżem*, najlepszej w P. a najgorszej w świecie. I siedzę tu w ciupie, która będzie moim apartamentem jeszcze przez czas pewien, dopóki mój los nie rozstrzygnie się w jaki bądź sposób.

„Jestem w takiem położeniu, że każdy krok mógłby mię tylko bardziej skompromitować; najlepiej więc oczekiwać wypadków. Kto wie?... Niekiedy miewam jeszcze nadzieję, spodziewam się, a sama nie wiem czego. Tymczasem nikt nie wie że ja tu jestem, a tu nikt mnie nie zna ani się mną nie zajmuje.

„Spostrzegam że nadużywam twojej cierpliwości; pisząc jednak do ciebie, nie chce mi się kończyć listu. Miałabym tyle jeszcze do powiedzenia! Czy mi przebaczysz? Jak ten list przyjmiesz? W każdym razie ufam. Doprawdy nie wiem, czy będę miała odwagę wysłać ten list do ciebie. Sprobuję jednak, bo bądź co bądź, mam nadzieję że mnie nie odepchniesz. Odpisz, odpisz co chcesz, byleś mi odpowiedział! Dni te przepędzę w niewysłowionej trwodze. O, gdybyś też przybył do mnie!

„*R. A.*“

Czytelnik nie będzie wątpił, gdy powiemy, że zaraz po przeczytaniu pierwszych wierszy tego listu, uśmiech szyderczy natychmiast zniknął z ust Ryszarda. W miarę czytania, na twarzy jego malowało się coraz większe zdumienie, żywsza ciekawość i wzrastające zajęcie. Zdumienie było bardzo naturalne, gdyż Ryszard nic prawie nie rozumiał. Wistocie w liście była mowa o rzeczach zupełnie mu nieznanych, tak jak są jeszcze nieznanemi dla czytelników. A nie było w tem nic dziwnego, jeśli zważymy że Ryszard przepędził ostatnie miesiące na wsi, że rzadko zajrzał do miasta i nie bywał tam w towarzystwach ani odwiedzał przyjaciół. Nic też zgoła nie wiedział o losach hrabiny, które go zresztą nic nie obchodziły. Miłość silna i słodka zapełniając całą jego duszę, sprawiała zarazem, że stał się obojętnym na wszystko inne, i że towarzystwa do których dawniej uczęszczał, mogłyby najdziwniejsze przechodzić koleje, a onby nic o tem nie wiedział.

Na hrabinę padł cios srogi. Zkąd? Jaka katastrofa nagle raziła ją gromem na tryumfalnej drodze? Cóż więc zaszło takiego o czem w liście pisała jako o rzeczy niestety zbyt znanej? Jakim sposobem losy upokorzyły to czoło wyniosłe? Jakiż nagły upadek! I co za przyczyna?

Jak mylne były przypuszczenia Ryszarda przed otwarciem listu! Ktoby uwierzył że w tym liście wyrazi się tyle zgnębienia, tyle upadku na duchu, i tyle upokorzenia! Spotwarzył ją biedną, co prawda poraz pierwszy w życiu! A ona, jak się zmieniła! Ona, przyzwyczajona do rozkazywania, prosiła; ona, nawykła widzieć wszystkich u nóg swoich, teraz błagała prawie na klęczkach: i jakiemi słowy! Gdzie się podziały dawne przesady, przebiegi, fortele i sztucznie układane frazesy? Teraz słyszałeś tylko krzyk duszy, gorącą prośbę, usilną i pokorną zarazem. Zo-

baczywszy jej list wyobrażał sobie, że ona wyciąga z pysznym giestem rękę żeby go zawrócić pod swoje panowanie, a tu przeciwnie ona błagalnie podnosi ręce żebrząc przyjacielskiego słowa niby jałmużny. A list ten był oczywiście szczerym, nie można było o tem wątpić, a najlepszy dowód był ten, że tu i owdzie mimowolnie zdradzał się jej zwykły charakter, bo w najgłębszem zmartwieniu i upadku na duchu wcale się nie zbłąkała jej wyrachowana główka; wybrała postanowienie najmniej mogące jej szkodzić i nie chciała się skompromitować żadnym krokiem niewczesnym.

Ryszard nie bez wzruszenia przeczytał ów list. W tem wzruszeniu nie było ani odrobiny dawnej miłości; jak atoli czytać owe smutne bolesne słowa bez pewnej litości dla osoby co sama przyznaje że tak nizko upadła?

Współcześnie Ryszard uczuł ciekawość nieprzepartą. Potrzebował dowiedzieć się o wszystkiem wprzód nim co postanowi. I był trochę niecierpliwy, choć się o to gniewał na siebie. Spiesznie wyszedł na miasto i szybkim krokiem zdążał do klubu, gdzie oddawna już noga jego nie postała.

ROZDZIAŁ IX.

Tej nocy Ryszard spał niespokojnie. Jechać do P. czy nie jechać?—takie było zagadnienie. Udając się tam tracił czas drogi, nie mógł dotrzymywać towarzystwa wujowi i opóźniał swój powrót do Mantino; przytem... należałoby mieć małą tajemnicę dla Konstancyi, a to mu wcale się nie

podobało. Nie jechać—znaczyłoby że nienawidzi hrabinę, i że jeszcze nie wyleczył się ze swej namiętności. Prawdopodobnie nie może być dla niej w niczem pomocą, jak jednak odmówić podania ręki kobiecie która o to błaga? Jak odmówić pociechy przyjaznego słowa? Pisać list, wydało mu się rzeczą trudniejszą, a przytem po otrzymaniu listu, chciałaby go jeszcze zobaczyć i sprawa bardziejby się powikłała. Wcześnie zrana spojrzał na zegar. Wyjechawszy w południe mógłby przepędzić tam parę godzin i w samą porę wrócić na obiad. Rzecz załatwiłaby się prędko, i jużby się jej pozbył. Przyrzekł bowiem sobie nie wracać tam już nigdy. Zamierzał być grzecznym, przyjacielskim, i do wyświadczenia przysług gotowym, ale zresztą poważnym i chłodnym.

I napisał do Konstancyi list długi, cały zapełniony jedną myślą, jeden z owych listów co zachwycają kochanków i poetów, a innych nudzą. I napisawszy, nie mógł oderwać myśli od Konstancyi, tak dalece, że podczas krótkiej podróży zapomniał prawie o jej celu. Dzień był pochmurny ale cichy, smutek rozlany w całej przyrodzie usposobiał do myśli melancholicznych a słodkich. Ryszard ani się spostrzegł jak przybył do P; duchem był w Mantino i zapomniał jakby o swojem ciele. Wróciwszy do poczucia rzeczywistości, wysiadł z wagonu, zobaczył lichy powozik smutnie oczekujący nieprawdopodobnego podróżnego, wskoczył do niego i rzekł do woźnicy, piegowatego chłopaka:

— Jedź do oberży pod *Zielonym Krzyżem*.

W dziesięć minut później zobaczył w sieni najpierwszego hotelu miasteczka P. pokojówkę Klementynę. Nie potrzebował więc wypytywać się w oberży o hrabinę.

— Mieszkamy pod szóstym numerem, proszę jaśnie pana, odpowiedziała pokojówka na jego pytanie. Zaraz zaprowadzę.

Poprzedzany przez pokojówkę Ryszard wszedł do wskazanego numeru. Ryta Alviano siedziała na krześle przy kominkowym ogniu, blada, skromnie ubrana, z miną znękaną, ale piękna. Zobaczywszy margrabię, doznała mocnego wstrząśnienia, wiele czasu upłynęło od ostatniej z nim rozmowy. W ciągu tego czasu jakże się zmieniła i ile to rzeczy zmieniło się dla obojga! — Po chwili Ryta wstała z uśmiechem na ustach a widocznie wzruszona. Podała mu rękę i on ją uścisnął. Zdawała się nie mieć dość siły by przemówić; patrzyła tylko bacznie na młodego człowieka, którego uśmiech i wyraz twarzy wydał się jej zupełnie nowym; zdawało się jej że go nie poznaje.

Krótkie to milczenie było dla obojga bardzo długiem. Ona nie wiedziała od czego zacząć rozmowę; on patrzył i czuł litość głębszą niż wyobrażał sobie gdy list jej czytał, a współcześnie prawie żałował że przyszedł. Przewidywał że rozmowa nie będzie tak łatwą jak zrazu mniemał.

— Myślałam że już pan nie przyjedzie, odezwała się w końcu kobieta. Sądziłam że to niemożliwe i już żałowałam żem się ośmieliła napisać do pana ów list niedorzeczny, i wolałabym żebyś go nie czytał. Jak pan widzisz, nie znałam cię jeszcze.

Głos jej był niepewny. Ryszard sprobował uśmiechnąć się wesoło.

— Ależ hrabino, dla czegożbym przyjść nie miał?

Ona nie słuchała i mówiła dalej:

— O, dzięki, dzięki za to żeś mnie nie odepchnął! Jesteś pan jedyną istotą do której, mimo wszystko co zaszło, są-

działam że mogę się udać, i nie omyliłam się. Przysięgam panu, że nigdy tego nie zapomnę!...

— Ależ za pozwoleniem, odparł Ryszard, każdy inny na mojem miejscu to samoby uczynił.

— Nikt. Jakże teraz oceniam wszystkich wedle ich prawdziwej wartości, wszystkich, przyjaciół i przyjaciołki! A szczególniej przyjaciołki! Teraz otworzyły mi się oczy. Ach, Ryszardzie, w tych dniach niewielu przeżyłam cały lat dziesiątek! Gdybyś pan wiedział, gdybyś mógł zrozumieć co to znaczy stracić wszystko, wszystko w jednej godzinie! A jak się wesoło depcze tego co upadł! Co o mnie mówią? Pewnie dziesięć razy gorzej niż jest prawdą. Wszystko jednak złe co mnie spotkało, jam sama uczyniła, i dziecińSTWem byłoby lękać się złego które inni wyrządzić mi mogą. Wybacz pan, że o tem mówię, zapewne cię tem nudzę?—Przyrzekłam sobie samej że będę spokojną, i że nie zrobię ci przykrej sceny; ale co poradzić na to, serce mi pęka!...

I mówiąc to przyłożyła rękę do piersi, i przyciskała ją długo ale daremnie; łkania przerwały jej mowę i zakryła twarz. Gdy je opuściła, twarz ta była spokojniejszą ale bladą i łzami zalaną.

— Przepraszam pana. O jakże jestem słabą istotą! Widzi pan, nie umiem nic ukryć. Zdaje mi się że tracę głowę. Dusza moja jest tak przepełniona gorzkim smutkiem. że stłumić go nie mogę. A pragnęłam ukryć go przed tobą, przyjacielu drogi. — Ale to przejdzie, już nawet przeszło; będę spokojną. Chociaż płakałam, nie sądź pan że nie czuję niezmiernej pociechy na twój widok! O, nie wyobrazisz sobie ile dobrego mi sprawiają i sprawiać nie przestaną te twoje odwiedziny!

I chociaż kobieta wysilała się na spokojność, głos jej wciąż drżał. Ryszard nie chciał być wzruszonym; zrozumiał że wypada mu mówić i jasno przedstawić położenie.

— Miałaś pani zupełną racyę licząc na mnie, rzekł. Nie pojmuję dla czego mogłaś pani choćby na chwilę wyobrażać sobie, że cię nienawidzę i że nie przyjdę. Gdy się otrzymuje list taki jak pański, powinnością jest naszą iść tam dokąd nas wzywają...

— Mów pan dalej, mów; twoje słowa sprawiają mi wielką ulgę i są prawdziwem dla mnie dobrodziejstwem.

— Jeśli łaska, hrabino, chciej mi nie przerywać. Uspokój się pani, nie wszystko będzie tak ciemnem jak ci się teraz wydaje. Przyszedłem tu, bo gotów jestem uczynić wszystko co jest w mojej mocy, żeby być w czemkolwiek dla pani użytecznym. Na nieszczęście, nie zdaje mi się żeby to było w mojej mocy.

— Co pan możesz zrobić dla mnie? Więc za nic liczysz już to samo, żeś tu przyszedł?...

— Powtarzam, hrabino, zdaje mi się że zrobiłem to tylko co było moją powinnością. Gdybyś mię pani wezwała do siebie na bal lub z innego jakiego błahego powodu, z pewnościąbym się nie ruszył z domu. Skoro jednak pani wzywasz mię jako swego przyjaciela, pragnę okazać się godnym takiego tytułu. Jeśli da się co zrobić dla pani, z pewnością zrobię, bylem mógł. Muszę pani wyznać, że teraz jestem bardzo zajęty, mam mnóstwo interesów, wuj Jan Jakób przyjechał i nie mogę zostawiać go samego; słowem, mnóstwo nudnych zajęć. Ale na wyświadczenie pani przysługi zawsze czas znajdę. Racz więc otwarcie powiedzieć, hrabino, co mogę uczynić?

Ona podniosła głowę i patrzyła na niego przez chwilę jakby zdumiona zapytaniem.

— Co możesz pan uczynić?— powtórzyła. Nie wiem. Wzywałam pana, bo chciałam uścisnąć twą rękę. Miałam także zamiar prosić cię o rady, może nawet wspomniałam o tem w liście, ale teraz zdaje mi się to niemożliwem.

— I dla czego?

— Bo na cóżby się zdało? — Wypadałoby opowiedzieć panu wszystko, a ja nie śmiem. Widok pana mięsza mię bardziej niż przypuszczałam. I słusznie, mam tyle powodów rumienić się... Przypuszczając że zdobyłabym się na odwagę i że opowiedziałabym panu wszystko jak było, mogłoby się zdawać, że chcę się usprawiedliwić. A może też nie wierzyłbyś moim słowom...

— Co znowu, hrabino...

— Nie wierzyłbyś, i miałbyś zupełne do tego prawo. Pozwól mi więc pan zmienić zamiar. Wystarcza mi to, że cię widzę i że z tobą rozmawiam. — Zdaje mi się, że to we śnie widzę cię siedzącego przy mnie i nie śmiem wierzyć własnym oczom. Tak mało zasługiwałam na to żebyś przyszedł!— Ach, gdybyś pan wiedział jak byłam rozgorączkowaną gdym do ciebie pisała i jak potem zaraz pożałowałam tego kroku! Teraz już nie żałuję. A jednak była to wielka z mej strony śmiałość.

I mówiła dalej tym samym tonem. Ryszard słuchał i tylko półsłówkami odpowiadał. Trudno mu było nie czuć na jej widok pewnego wzruszenia. Czas płynął ze zwykłą szybkością, a jemu wydawał się powolnym. Nie powtórzymy wszystkiego co mówiła Ryta, byłoby to zbyt długiem. Mówiła prędko, z niespokojnym pośpiechem, jakby się obawiała że nie zdąży wszystkiego powiedzieć.

Ryszard ze swej strony mimowolnie ciekawy był dowiedzieć się, co było prawdą a co fałszem w różnych opowiadaniach o przygodzie hrabiny; przedewszystkiem je-

dnak nie chciał okazać takiej ciekawości, nie cierpiąc odgrywania roli sędziego; a przytem wnosząc z napomykań hrabiny obawiał się, czy to nie byłaby jedna z owych bajeczek które kobiety umieją niekiedy wybornie *ad usum delphini* układać. Hrabina ukazywała mu się w nowem świetle, dość korzystnem; i nie zdając sobie sprawy ze swoich wrażeń, Ryszard miał więcej dla niej szacunku teraz gdy wszyscy go jej odmawiali, a dochodząc przyczyny tego nagłego szacunku, dostrzegał ją w rzadkim przymiocie szczerości, którego dotychczas w hrabinie nie znał. Nie chciał więc tracić tego korzystnego dla niej złudzenia, i nie nalegał o wyjaśnienie wypadków o których tak różne słyszał był opowiadania.

Prócz tego był zdania, że w podobnych razach zamiast chcieć poznać szczegółowo przeszłość, pożyteczniej jest rozważyć coby można najlepszego na przyszłość przedsięwziąć. I starał się naprowadzić rozmowę na ten praktyczniejszy przedmiot, poznać zamiary hrabiny, jeśli jakie miała, wywiedzieć się w czem mógłby być jej pomocnym, i w ten sposób jak najprędzej wywiązać się ze swojego zadania.

— Cóż więc pani myśli przedsięwziąć?—zapytał nagle.

— Nie wiem, smutnie odpowiedziała spuszczając oczy i opierając głowę na ręku.

— Zdaje mi się, że nie możesz pani tu pozostawać. Nie chcę wiedzieć o niczem, skoro pani bolesnem jest przypominanie rzeczy już niepowetowanych. Trzeba jednak pomyśleć o polepszeniu swego położenia. Powiadasz pani, że nie podobna byłoby ci wrócić do swojej familii?...

— Znasz ją pan dobrze, i sam osądź.

— Wistocie ma pani racyę.

— Tak niestety, mogę tylko być samą.

— Jeśli tak, to radzę pani wyjechać z Włoch, i trochę podróżować, skoro osobisty majątek pani na to pozwala; lub też, jeśli pani woli spokojność, wybrać sobie jakie ustronie zaciszne, naprzykład nad brzegiem morza, i tam kilka miesięcy zabawić...

— A później co? Mój drogi przyjacielu, musiałabym na nowo toż samo rozpoczynać. Trudność nie leży w wyborze miejsca mniej więcej cichego i sympatycznego, ale w okropnej próżni którą czuć będę wszędy. Jakaś fatalność na mnie ciąży. Ach, teraz, ale zapóźno już spostrzegam, jak blizką byłam szczęścia, a widzieć go nie umiałam!... Dajmy jednak pokój tym wspomnieniom. Nad brzegiem morza, na wsi, w której bądź części świata, wszędy będę sama, opuszczona, upadła. Nikt, ani pan ani kto inny materyalnej przysługi wyświadczyć mi nie może, bo jej nie potrzebuję; ale możesz mieć dla mnie trochę litości, możesz nie odmawiać mi trochę przyjaźni. Po co jednak mówić o tem? Rzecz daremna. Mówmy o czem innem. Nie chciałabym pana zanudzić. Twoje odwiedziny są wszystkiem czego pragnęłam a nie śmiałam się spodziewać; temu życzeniu memu stało się zadość, będę za to dozgonnie panu wdzięczną, a więcej nic już nie żądam.

— Owszem, mówmy jeszcze o pani, mamy trochę czasu. Dopiero o czwartej muszę być na kolei.

— Jakto? Nie zostaniesz pan do wieczora?

— Nie mógłbym doprawdy...

— Ależ ja pana proszę; będzie to prawdziwie dobry uczynek. Mam tyle jeszcze do powiedzenia! O sobie mówić już nie będę. Ot, lepiej pogawędzimy o przyjemniejszych rzeczach, opowiesz mi pan naprzykład swoje projekta na przyszłość. Widzisz pan, jestem teraz prawie weselszą, zaczynam uczuwać wpływ dobroczynny twojej

obecności. Przed chwilą pytałeś pan co możesz dla mnie uczynić? Możesz uczynić rzecz bardzo dla mnie ważną: zostać tu kilka godzin dłużej niż zamierzałeś. Bądź że tak na mnie łaskaw, bardzo proszę! Obiad będzie niegodziwy, ale od tak dawna nie siedzieliśmy już razem za stołem, że może dla samej nowości nie wyda ci się tak złą kuchnia tutejsza. Klementyno!

— Słucham pani! odpowiedziała pokojówka wbiegając z drugiego pokoju.

— Idź powiedz żeby dziś dano obiad na dwie osoby.

— A teraz, mówiła dalej Ryta, skoroś pan postanowił pozostać, pozwól mi kwadransik czasu do napisania listu. Muszę odpowiedzieć na list mojego plenipotenta. Tu jest książka którą wzięłam nie wybierając... Może pana rozerwie... Przepraszam za tę śmiałość...

I hrabina siadła przy stoliku pod oknem i zabrała się do pisania. Ryszard pozostał przy kominku i wziął książkę. Nie czytał jej jednak, rozglądał się po pokoju, spojrzał na hrabinę piszącą i znowu zwrócił oczy na pokój.

Była to stancya dość nędzna, jakich wiele w oberżach miasteczkowych; ściany malowane na żółto i zielono, były dobrze posmolone; nad kominkiem stały sztuczne kwiaty w wazonikach pod kloszem, a obok nich rękawiczki, szkatułki, pudełka z pachnidłami i inne drobiazgi hrabiny. Był to pokój bardzo pospolity, którego mieszkańcy codzień się prawie zmieniają; ale właśnie dla tego budził wszelakie myśli. Iluż tu ludzi spało i czuwało, cierpiało i radowało się, ile uczuć najpospolitszych krzyżowało się z najwznioślejszemi może! Jak różnemi spojrzeniami patrzono tu na brudne ściany, i na szpetne ozdoby sufitu!

A teraz hrabina w tej stancyi! Już to jedno ileż miało doniosłości! Patrząc na nią Ryszard jakby zapomniał

o prawdziwem położeniu, i wydawało mu się dziwnem że w takiem miejscu jest z nią sam na sam. I przypomniał sobie różne wypadki i porównywał je z teraźniejszością. I nieznacznie i mimowolnie myśli jego cofały się w przeszłość. Milczenie i cichy szelest pióra posuwającego się po papierze mieszały go nieco. I prawie nie pojmował dla czego tu pozostaje. Naprędce postanowiwszy tu przybyć, teraz zaczynał się zastanawiać. Ktoby mu to powiedział przed kilką dniami?

Jeżeli kiedy przyszła mu myśl że się jeszcze spotka z hrabiną, to sądził że stanie się to przypadkiem, na jakim wieczorze. Wtedy powitałby ją jak znajomą i na tem koniec. Wówczas nie byłby już sam; życie ukazywałoby mu się w innej postaci. Konstancya z pewnością niczegoby się nie domyśliła.

Tymczasem przeciwnie był teraz tutaj. Hrabina prosiła go o przebaczenie, wzywała jego pomocy, nazywała swoim przyjacielem: on nie potrzebował jej przebaczać, a uważał że się mu nie godzi odmawiać pomocy i że powinien przyjąć nazwę którą mu nadała. Byli teraz z sobą jak starzy przyjaciele; ona pisała przy nim nie robiąc ceremonii, on czekał; przepędzili razem dzień cały, a wkrótce zasiądą razem do obiadu. Zamierzył był okazać się grzecznym wprawdzie ale poważnym i nieco surowym; tymczasem z każdą chwilą lód coraz bardziej topniał, mimowolne zakłopotanie ktore z początku oboje czuli, zmniejszało się, i rozmowa stawała się poufniejszą. A może właśnie ta przerwa w rozmowie i to milczenie chwilowe bardziej jeszcze zbliżało ich do siebie.

A jednakże nie mógłby nie przyjść. Nie wypadało. I dopiero gdy myślą przeniósł się do pokoiku bawialnego u pani Gerardi, gdzie może w tej chwili Konstancya my-

ślała o nim i obliczała kiedy powróci, nagle uczuwał się zachwianym w swojem przekonaniu.

Tymczasem patrzył na hrabinę, i jak z początku gdy wszedł tutaj, tak tem bardziej jeszcze teraz zdawało mu się że nie poznaje tej kobiety. Wistocie dotychczas znał ją jako lekkomyślną i płochą, a dziś byłaż to ta sama kobieta co budziła podziwienie tłumów? Piękność jej zmieniła charakter i stała się mniej dla wszystkich zrozumiałą. Zależałoż to od tego iż Ryszard wiedział że była bohaterką romansu, lub też od tego, że jej piękność w walce życia udelikatniła się i stała zupełniejszą a mniej pospolitą? Ryta miała na sobie suknię podróżną ciemno-szarą, a z pod prostego białego kołnierzyka wysuwała się szyja łabędzia, giętka i krzepka zarazem, prosta i zaokrąglona jak u kobiet w greckich posągach. Duże jej oczy, omdlałe, ciemne, może trochę zanadto jedno od drugiego oddalone, a w tej chwili spuszczone i jakby osłonione długiemi rzęsami, miały wyraz głębokiej zadumy a cała jej twarz tchnęła niezwykłą powagą. Profil szczególniej był pięknie zarysowany. Włosy bujne, falujące, z prostotą wijące się nad czołem, spadały na plecy w dwóch grubych warkoczach które lśniły się na brzegach w świetle zachodzącego słońca. Od czasu jak jej nie widział, ileż myśli przesnuło się w tej główce schylonej teraz nad listem!

Prócz tego rysy tej pięknej twarzy zdradzały znękanie i prawie cierpienie: usta naprzykład tworzyły kąty pełne bolesnego wyrazu. Patrząc na nią nietrudno było odgadnąć, że ta kobieta musiała zrozumieć wiele rzeczy niegdyś dla siebie nieznanych, i że już dawniej, przed ostatnią przygodą, życie stawało się dla niej trudniejszem. Wszystko teraz było możliwem, dobre i złe, bo już oddawna nic o niej nie wiedział. Dziś już nie tak był obojętnym na

czyny hrabiny, jak wtedy gdy z zupełną szczerością twierdził był tak w rozmowie z kuzynem Andrzejem.

Było w niej coś bardziej niewieściego niż dawniej, coś co ukryte było wówczas gdy ją znał, a co teraz się objawiało. Wówczas była wielką panią, zadowoloną z posiadania bogactw i pięknego nazwiska, dumną ze stanowiska jakie zajmowała, chciwą tryumfów i przyjemności, lekkomyślną, kapryśną i niestałą; nie miała ani pragnień, ani żądań, i nic się jej nie przykrzyło. A teraz nie byłoż prawdopodobnem, że zmiana wyraźna na jej twarzy była prawdziwą, że ta wyniosła i pyszna kobieta zaczęła uczuwać czczość dawnego życia, owych przyjęć, wieczorów i balów, że rozumiała nicość *towarzystwa* i że w głębi duszy zapragnęła innego życia i wrażeń głębszych a prawdziwszych?

Przyznając że popełniła wiele błędów, nie usiłując ich usprawiedliwić ale badając ich przyczyny, czyż nie można było przypuścić, że ta kobieta podniecana ciekawością chorobliwą i spragnioną ideału, szukała tego czego nie znalazła, rzeczywistości przewidywanej w marzeniach, prawdziwego celu istnienia? Może ta kobieta, którą posądzano o posiadanie nie jednego kochanka, nie znała miłości i szukała jej daremnie zanurzając się w zdrożnościach? W istocie, azali typ Don Żuana jest wyłączną tylko właściwością mężczyzn?

Jak widzimy, wyobraźnia Ryszarda szybkim pędziła lotem. W końcu rozmyślania te przerwała hrabina, która wstała z listem w ręku i zbliżyła się do kominka. Ryszardowi zdawało się, gdy ją tak idącą zobaczył, że jest wyższego wzrostu niż dawniej; kształty jej były wytworne, piękne i zarazem delikatne.

— Przepraszam, wynudziłam pana dłużej niż miałam zamiar, rzekła z dawnym uśmiechem, i bielutką, wykwintną rączkę wyciągnęła do ognia żeby osuszyć kopertę. Ryszard zauważył arystokratyczną wytworność dłoni i pięknych palców które w odblasku płomieni zdawały się być różowe i jakby przezroczyste.

— List ten był nieodzownie potrzebny, dodała hrabina oddając go przywołanej Klementynie — inaczej z pewnością nie traciłabym tak drogiego czasu. Raz jeszcze dziękuję panu za to żeś przyszedł; jak widzisz, jestem teraz pogodniejsza i spokojniejsza, dzięki tym odwiedzinom.

— Zapewniam panię, że jej widok sprawia mi wielką przyjemność, i pragnąłbym żebyś pani sprobowała być znowu szczęśliwą.

— Poczciwe to doprawdy słowa. A teraz posłuchaj mię, panie Ryszardzie. Mam jeszcze wiele do powiedzenia a czas upływa. Bogu wiadomo, kiedy cię znowu obaczę. Przyszedłeś do mnie, bo jesteś dobrym, lepszym niż wszyscy inni; ale już pewnie nie wrócisz i nie chcę tego od ciebie żądać. Zanudziłbyś się ze mną; a życie twoje prawdopodobnie teraz zwróciło się gdzieindziej, nie możesz się mną zajmować, i tak już zrobiłeś dla mnie za wiele. Nie sądź jednak że się obawiam, aby nie skompromitowały mnie twoje odwiedziny. Chociażby nawet świat się o nich dowiedział, nicby mnie to nie obchodziło. Czem jest on dziś dla mnie? Chciałabym żebyś miał dla mnie trochę współczucia, chciałabym sama mieć trochę szacunku dla siebie; o szacunek innych nie dbam.—Nie przerywaj mi, mogłabym zgubić wątek moich myśli. Mówię bardzo poważnie. Nie wiem co się stanie ze mną. Może się już nigdy nie zobaczymy. Pozwólże mi więc teraz się wygadać; odsłonię ci nieco tajników mej duszy. Pragnę że-

byś mnie dobrze poznał; może poznawszy mnie, będziesz sprawiedliwiej o mnie sądził, na lepsze lub na gorsze.

— Znam już panią. Widzę 'żeś się w wielu rzeczach zmieniła.

— Tak, zmieniłam się bardzo, bardziej nawet niż ci się wydaje. Obiecałam nie dotykać przeszłości, i dotrzymam obietnicy. A jednak mogłabym ci wiele powiedzieć; ma się rozumieć, nie dla usprawiedliwienia się. Błądziłam, otwarcie przyznaję, ale byłam tak niedoświadczoną! Wracając jednak do teraźniejszości, opowiem ci niektóre moje wyobrażenia, abyś mię lepiej poznał i wiedział, dla czegom upadła. Przyczyną moich nieszczęść i błędów było to, że mię nikt i nigdy nie kochał. Nie znałam prawdziwego przywiązania rodzinnego; wydano mię, młodą dziewczynę, za Alviana i ja zaślubiłam go nie przypatrzywszy mu się nawet. Miłość, miłość namiętna a czysta, była dla mnie dźwiękiem bez myśli. Zaślepiona powodzeniem w świecie, upojona łatwemi tryumfami, zapomniałam o prawdziwym celu życia. A powtarzam, nikt mnie naprawdę nie kochał; wielbiciele byli u stóp hrabiny Alviano w zimę, jak na lato udawali się za nią do wód; ale zawsze tylko z mody.

Ryta mówiła to z pewnem wzruszeniem, widocznie szczerem. Ryszard milczał.

— Nie mówię o tobie, panie Ryszardzie. Przeszłość jest pogrzebaną; pozwolisz mi jednak powiedzieć sobie, że teraz dla ciebie jednego tylko mam szacunek. Nie będę opowiadała mojego życia. Nie wiem czy gdybym to uczyniła, miałbyś lepszą lub gorszą o mnie opinię; ale toby cię zanudziło, a i czasu brak. Może kiedyś dowiesz się o wszystkiem. Czy jednak uwierzysz mi lub nie, powiem ci że w tej samotności nie raz myślę o szczęściu kobiety

co zrodzona w skromnem położeniu, zaślubia ukochanego mężczyznę i całe swoje życie dla niego poświęca wiedząc co warta jest miłość. Takiej kobiecie zazdroszczę z całego serca, zazdroszczę jej życia spokojnego w którem jest to co wzbrania wszelkiemu złemu przystępu do duszy!...

Ryszard słuchał zamyślony, a gdy wyrzekła ostatnie wyrazy, bacznie na nią spojrzał. I nie wiedział co odpowiedzieć, i lubo wmawiał w siebie że taka myśl tylko przypadkiem postała w jej głowie, niemniej był zdumiony i wzruszony, a nadewszystko zdumiony.

Wybiła piąta, Klementyna weszła i nakryła do stołu.

Gdy usiedli przy nim, hrabina dodała:

— Zdaje mi się żem już powiedziała panu prawie wszystko com powiedzieć chciała. Teraz kolej na pana mówić o sobie.

— Nie wiele mam do powiedzenia, odrzekł Ryszard. Nie przeczę, że słowa pani sprawiły na mnie wrażenie.

— I mogęż spodziewać się, że o nich nie zapomnisz? Będzie to pociechą w mojej samotności i w życiu późniejszem, jakiekolwiek ono będzie.

Ryszard probował skosztować wyrobów szkaradnej kuchni pod *Zielonym Krzyżem*. Hrabina jadła machinalnie, jakby w roztargnieniu.

Tymczasem zmrok zapadał i stancya była cała w cieniu. Słabe światło padało jeszcze na nich siedzących przy oknie. Rozmawiali o rzeczach obojętnych, potem nastało milczenie. Ryta pogrążona w myślach patrzyła w okno w którem z pewnością nic nie widziała. Ryszard przypatrywał się jej teraz w półświetle w którem jej rysy były niewyraźne i jakby zamglone. Twarz zdawała się bledszą, oczy ciemniejsze, cała postać stawała się idealniejszą. Nigdy jeszcze nie widział jej w takiem świetle.

Wzajemne ich położenie było dość ciekawe i Ryszard nie mógł się przekonać, że rzeczywiście jest tu przy niej. Cieszyła go myśl że wkrótce ztąd odejdzie, gdyż położenie stawało się coraz trudniejszem. I mimowolnie wciąż na nią patrzał i wydawała mu piękną, zupełnie inną niż dawniej pięknością.

Wejście pokojówki z dwiema zapalonemi świecami przerwało ich rozmyślania. Zaczęli znowu rozmawiać. Ryszard wypytywał o różne osoby których w ostatnich czasach wcale nie widywał. Wróciła swobodna naturalność w rozmowie, i hrabina opowiadała tonem spokojnym i prawie wesołym.

— Ale, ale, rzekła nagle. Gdzieżeś to pan tak długo się ukrywał? Czy ciągle na wsi?

— Ciągle.

— I tylko dla interesów majątkowych?

— A tak, dla interesów.

Kobieta na wpół przymknęła oczy i uśmiechnęła się z niedowierzaniem, jednym z tych uśmiechów które jej były bardzo do twarzy.

Ryszard udał że tego nie spostrzega. Nie chciał zwierzać się przed nią z tem o czem zaledwie mówił kuzynowi Andrzejowi i wujowi. A przytem nigdyby nie chciał mówić z nią o Konstancyi.

Hrabina nie nalegała, zmieniła przedmiot rozmowy, i gawędzili jeszcze czas pewien jak dwaj koledzy co się zobaczyli po długiem rozstaniu. Nie było już prawie żadnego między nimi zakłopotania. Ani się spostrzegali jak czas upływał, aż w końcu Ryszard drgnął gdy wybiła godzina na zegarze ściennym.

— Muszę panią pożegnać. Jeszcze kawał drogi ztąd do stacyi.

— Nie zatrzymuję pana, żebyś się nie potrzebował spieszyć.

Ryszard wstał. Pożegnania są zawsze nudne i najlepiej je skrócić. Hrabina także wstała.

— Żegnam, rzekła. Raz jeszcze dziękuję za miłe godziny które z panem przepędziłam; jak widzisz, smutek mój się rozproszył. Nie śmiem prosić cię, żebyś powrócił. Nie możesz, i pewnie to lepiej. Cieszy mię, żem nie sprawiła zbyt złego na panu wrażenia. Do rozpoczęcia nowego życia jakie mię czeka, potrzebowałam spokoju, pobowałam widzieć pana. Nie zapominaj pan o mnie, jeśli możesz, i cóżkolwiek ci o mnie powiedzą, nie pogardzaj mną zbytecznie. Wiesz teraz co było przyczyną złego, objaśniłam ci to, i zapewne zrozumiałeś więcej niż powiedziałam. Czy pozwolisz mi pan pisywać niekiedy do siebie? Odpowiesz jeśli zechcesz. A teraz nie chcę już dłużej zatrzymywać pana...

Stancya była słabo oświeconą, świece stały przy oknie. Czy Ryszard omylił się, czy też rzeczywiście zobaczył grubą łzę spływającą po jej licach?

Wyszedłszy z oberży odetchnął długo i głęboko. Świeże powietrze sprawiało skutek jakby trzeźwiącego napoju.

ROZDZIAŁ X.

Zostawiliśmy Konstancyę pełną zaufania do przyszłości, teraz bowiem bez obawy widziała zbliżające się szczęście, którego już nie śmiała odpychać. Samotność jednak bardzo łatwo zasmuca, i po kilku dniach nieobecności Ryszar-

da dawne trwogi przypuszczać zaczęły szturm do duszy dziewicy, lubo opierała się im wszelkiemi siłami i rozumując usiłowała się przekonać, że powinna być spokojną i żadnych nie mieć obaw. Przypominała sobie, że przyrzekła Ryszardowi nigdy o jego sercu nie wątpić, i uprzytomniała w wyobraźni każde jego słowo, każdy uśmiech, każde ściśnienie ręki— a jednak nieobecność jego ciążyła jej ołowiem, i pogoda duszy nie promieniała już tak jasno jak dwniej na jej twarzy. Wiedziała, że się uspokoi jak tylko go zobaczy, i liczyła godziny które ją od niego oddzielały.

Ryszard spóźnił nieco powrót, i dla tego Konstancya była trochę niespokojną. A bardziej jeszcze zasmuciła się gdy powrócił, bo zaledwie pierwsze chwile radości minęły, oznajmił jej, że musi odjechać nazajutrz wieczór, gdyż wuj przed wyjazdem na czas długi jeszcze kilka dni tylko zabawi i wypada dotrzymać mu towarzystwa.

Konstancyę pokrzepiła nieco wiadomość, że i Ryszard wiele cierpiał podczas tego rozłączenia, i że z głębokim smutkiem i z najżywszą niechęcią i tylko z musu wybierał się znowu do miasta.

Miłość w istocie przebijała się w każdem słowie, w każdem poruszeniu Ryszarda. Kiedy patrzył na Konstancyę, niktby o tem nie wątpił. I mówił jej tyle miłych rzeczy, z tak szczerą wymową serca, że musiała się pocieszyć. Zdawało się że i miłość jego stawała się gorętszą i namiętniejszą niż dawniej. Był teraz niecierpliwym, nie chciał słyszeć o nowej zwłoce, lubo z różnych powodów familijny była ona potrzebną.

Pani Gerardi widząc że zbliża się chwila w której ulubione jej marzenia staną się wreszcie rzeczywistością, nie posiądała się z radości, i nieustannie podziwiała przymio-

ty swego przyszłego zięcia. Malarz był także bardzo serdeczny z Ryszardem, zdawało się że czuł do niego żywą sympatyę, i teraz gdy synowica była prawie zadowoloną, uczestniczył we wspólnem szczęściu a bawiła go jeszcze próżna i wyniosła strona radości bratowej. Podobało mu się postępowanie Ryszarda, i zaczynał mieć nadzieję, że mimo młodego wieku i stanowiska swego, uczyni Konstancyę szczęśliwą. W części jednak tylko pojmował jego niecierpliwość gorączkową, sądził bowiem że gdy czekał już tak długo, to może jeszcze trochę poczekać. Żenić się w zimie, zdaniem malarza, było rzeczą smutną i jakby złej wróżby. Przytem miał osobisty powód do zwłoki; z powodu zajęć zimowych w mieście, nie mógłby być na weselu; czemuż więc nie zaczekać do wiosny?

I długo o tych i o innych rzeczach rozmawiał z Ryszardem. Sympatyzowali z sobą, i zaczęli naprawdę przywiązywać się jeden do drugiego; zgadzali się w zapatrywaniu na mnóstwo przedmiotów, a gdy rozpoczęli gawędkę, trwało to bez końca, bo jedna myśl płodziła drugą, a każda rozmowa obfitowała w uwagi i spostrzeżenia uboczne które ich odwodziły daleko od pierwszego jej przedmiotu. Teraz było między nimi zaufanie zupełne; Ryszard opowiadał malarzowi swoje zamiary na przyszłość i radził się jego artystycznego smaku co do zmian jakie chciał w swoim pałacu zaprowadzić. Pan Antoni jednak nalegał na swego przyszłego synowca, żeby zaczekał ze ślubem na jego powrót, i na udowodnienie potrzeby tej nowej zwłoki, przytaczał różne drobne powody których powtarzać nie będziemy.

Ryszard atoli jak wiemy, niechętnie słuchał o nowej zwłoce. Stał się nadzwyczajnie niecierpliwym.

Czy sama miłość była przyczyną tej niecierpliwości? Czy czasem czytelnik nie dostrzega innej, ukrytej w cieniu, niewyraźnej ale istniejącej, której sam nie chciał widzieć, a może i nie mógł, ale której wpływowi nieświadomie ulegał?

Nie mógł zaprzeczyć przed sobą samym, że bytność jego u hrabiny sprawiła na nim wrażenie. Nie znaczy to, że widząc ją znowu uczuł wzruszenie, które mu przypominało dawną miłość i że obawiał się prawdopodobnego rozbudzenia przeszłości. Uleczył się najzupełniej i mógłby z najspokojniejszem sercem ze storazy jeszcze widywać piękną hrabinę w całym przepychu jej wdzięków. Śmiemy nawet twierdzić, że hrabina zajmowała go teraz dla tego właśnie iż mu wcale nie przypominała przeszłości.

Mówiliśmy już, że stała się inną kobietą, prawdziwą kobietą, powabną nawet w złem które popełniała, a współcześnie zdolną czynić dobrze, znudzoną wszystkiem ale spragnioną prawdziwego przywiązania, występną ale upadłą, pokorną i dumną zarazem, i wreszcie nieświadomą wielu uczuć, pomimo życia jakie wiodła. Taką się nagle ukazała teraz Ryszardowi.

Zupełnie zapomniał o hrabinie Alviano, pięknej, płochej, zimnej, obojętnej, uwielbianej i wyniosłej, lekkomyślnie igrającej z sercami; niby już nie mogło wskrzesić wrażenia jakie przestała sprawiać ta postać zapomniana, — ale ta druga kobieta z tem samem nazwiskiem, kobieta co błagała go o przyjaźń, co zaklinała w imię nie przeszłości lecz teraźniejszości, co była wdzięczną za uściśnienie ręki i nic więcej nie żądała — czy ta kobieta nie mogłaby zaniepokoić jego serca? Czy nie było tu niebezpieczeństwa?

Przyrzekł sobie nie być już u niej, i pojmował że tak będzie lepiej. Chcąc przytem jakby przed sobą samym zaprzeczyć sprawionego wrażenia, któreśmy tu starali się określić, wszystkie myśli zwrócił ku tej, której obraz nosił wyryty w sercu i której miłość była odtąd celem jego istnienia. Takie myśli były silniejszemi od innych i spłaszały je jak widma; dlatego też bardziej niż dawniej ubolewał, że nie może stale przebywać w Mantino. Bardziej niż kiedy czuł potrzebę ciszy i spokoju; bardziej niż kiedy serce jego zwracało się do jednego punktu i wszystkie myśli w nim skupiało. I powtarzamy, niecierpliwiej niż kiedy pragnął spiesznie przybić do portu i zamknąwszy się w nim, słuchać świstu wichrów i szumu wspienionych bałwanów. Raz tu dostawszy się, osiadłszy w tej pustelni która się stała ulubionem jego marzeniem, czuł się ocalonym, zabezpieczonym od burz świata i obojętnym na jego ponęty. Miłość jego stawała się mniej spokojną, żądza szczęśliwości wstrząsała go gwałtownie; nie mógł już czekać. Bo i dla czego czekać na tym świecie, gdzie nic nie jest pewnem i bezpiecznem? Nie podobna dość się spieszyć żeby zapewnić sobie szczęście jakie posiadać możemy. Nie jest roztropnem opóźniać przyjęcie szczęśliwości która na nas czeka za drzwiami.

I cały dzień przepędził w domu państwa Gerardi i czuł się tu tak szczęśliwym, że mu serce płakało na myśl że musi raz jeszcze odjechać.

Tu, w tym cichym domu, żadna inna myśl nie mogła przeniknąć aż do niego; tu nic sobie już nie przypominał: wszystkie jego uczucia i wszystkie władze duszy zwrócone były ku tej dziewicy, co spokojnie pracowała w swoim kąciku przy oknie, jak w pierwszym dniu gdy ją poznał, ale która teraz podnosiła ku niemu słodkie spojrzenie; ku

tej dziewicy co zmieniła jego wyobrażenia, co mu pokazała gdzie jest szczęśliwość prawdziwa, co wzbudziła w nim miłość głęboką i świętą, i co wkrótce miała stać się ukochaną na zawsze. Patrząc na nią, czuł się bezpiecznym o swoją przyszłość; miłość zapełniała mu całą duszę nie zostawiając miejsca dla innych myśli, które zwolna rozpraszały się w mgle dalekiej i wreszcie znikały mu z oczu. I teraz odjeżdżać! wprawdzie na krótko, ale stracić z oczu tę, co jest całem jego życiem! O, oddalać się, jak szkaradna konieczność! Nie widzieć już jej tak jak ją teraz widział, lecz tylko w wyobraźni tworzyć blady obraz osoby kochanej!

I długo nie mógł się zebrać na odjazd do wuja. Ten przyjął go dość pobłażliwie.

— Nie pokazujesz mi się już od dni kilku, rzekł. Gdy się ma jednak na wytłumaczenie swoje miłość, jak można obawiać się wyrzutów? Powiedz że mi, mój drogi, kiedyż będzie ślub?

— Ile możności jak najprędzej.

— I rozumie się, zaprosisz mię na wesele?

— Będę uszczęśliwiony, wuju, jeżeli przyjedziesz! I teraz już mię cieszy, żeś się trochę pogodził z mojem postanowieniem.

— Mój drogi, przez całe życie robiłem to tylko co sam chciałem, i byłoby śmiesznem gdybym ci teraz zabraniał tak samo postępować. Powiedziałem ci już moje skromne zdanie, ale narzucać ci woli swojej nie chcę. Jeśli kto będzie ukarany, to tylko ty jeden, a ja za to odniosę tę korzyść, że czasami pohuśtam małych wnuków na kolanach.

— Jakże jesteś dobrym, wuju! A jednak spostrzegam żem się łudził; bo nie zmieniłeś swojego zdania.

— Ale owszem, owszem! Zaczynam wierzyć, że może masz racyę. I zaraz ci powiem dla czego. Miałem tak mocny dowód twojej miłości dla panny Gerardi, że jestem przekonany, iż najlepiej zrobisz gdy się z nią ożenisz.

— Jakiż to dowód?

— Twoje roztargnienie, mój drogi, bo jak ci wiadomo, dowodzi ono, że serce jest na wskróś strzałą Kupidyna przeszyte. Któregoś dnia widząc że nie przychodzisz, wybrałem się na wieś odwiedzić starą margrabinę Bolgarini przebywaiącą w swoim zamku Palma. Pociąg zatrzymuje się na stacyi w blizkości zamku. Nie całe trzy godziny drogi. Zdumienie moje było ogromne, gdy wyglądając z wagonu zobaczyłem ciebie wysiadającego na stacyi P.— Nieborak, pomyślałem zaraz, musi być szalenie zakochany! Pewnie myślał że jedzie do Mantino, a przybył tutaj.

I mówiąc to stary hrabia muskał swoją brodę, który to giest był mu zwykłym bo pokazywał jego rękę, jeszcze bardzo ładną, — i uśmiechnął się ironicznie.

Ryszard trochę się zaczerwienił i odpowiedział:

— Ech wuju, musiałem jechać do P. za interesami. Znudziło mię to okropnie, ale było koniecznem.

— Za interesami?... spytał szyderczo hrabia. Więc nie byłeś roztargniony? A to szkoda, doprawdy. W takim razie jesteś mniej zakochanym niż sądziłem. Jeśli cię jednak nie znudzę, tobym chciał opowiedzieć ci koniec mojej przygody.

— Owszem, słucham z przyjemnością, niech wuj opowiada.

— Zobaczywszy tedy jak wysiadłeś w P. pojechałem dalej i przybyłem do zamku Palma, obszernego i smutnego gmachu podobnego do koszar. Wszystkie okna były zamknięte. Powiedziano mi że przed dwoma dniami mar-

grabina pojechała do swojej siostrzenicy, bardzo chorej. Stary sługa, Santino dodał, że w tym dniu spodziewa się jej pod wieczór i że dobrze zrobię gdy na nią zaczekam. Nie przyjechała jednak wieczorem i znowu na prośby Santina zanocowałem w zamku.

— Nazajutrz—opowiadał dalej hrabia—zamiast margrabiny przybył list od niej zawiadamiający wiernego sługę, że z powodu pogorszenia choroby siostrzenicy nie może jej opuścić. Dłużej czekać byłoby daremnem, zresztą już się znudziłem. Zostawiwszy więc u Santina list do margrabiny z podziękowaniem za gościnne przyjęcie podczas jej nieobecności, i z wyrażeniem żalu że nie mogłem jej zobaczyć, pobiegłem na kolej. Powiedziano mi na stacyi, że pociąg przybędzie dopiero za kilka godzin. Co tu począć? Nie chciałem wracać do zamku, więc postanowiłem zjeść obiad w P. i zaczekać tam na pociąg.

Ryszard zrazu słuchał z roztargnieniem opowiadań wuja; teraz zaś natężył uwagę.

— A co, zapytał hrabia, widzę że historyjka ta zaczyna cię zajmować?

— Niech wuj opowiada dalej z łaski swojej.

— Owóż kazałem się zawieść do najlepszego hotelu i wysiadłem w oberży pod *Zielonym Krzyżem.* Miałem przed sobą całe jeszcze pięć godzin. Pojmujesz okropność mojego położenia? Tak zwana sala jadalna była szkaradną izbą pełną ludzi; kazałem więc dać sobie numer osobny i tam przynieść obiad na piątę. Przeszedłem się trochę po miasteczku, ale nie widząc nic zajmującego, wróciłem do oberży, wszedłem do wyznaczonej mi stancyi pod numerem piątym, i otworzyłem książkę którą na szczęście miałem z sobą. I czytałem spokojnie z pół godziny, gdy

nagle przerwał mi czytanie dziwny szmer pochodzący z sąsiedniej stancyi.

— Jaki szmer?

— Podobny do płaczu. Powątpiewałem jeszcze, ale niebawem przekonałem się że to były na prawdę łkania, a co ważniejsza, że to niewątpliwie płakała kobieta. Ciekawość moja była do najwyższego stopnia podniecona i...

— I co?

— Tu muszę ci wyznać, że zrobiłem rzecz trochę niegodziwą. Ale, nie będąc żonatym i nie mając przesądów...

— Mów, wuju. Cóżeś zrobił?

Hrabia udając że nie śmie głośno wyrazić takiego wyznania, zbliżył usta do ucha siostrzeńca i szepnął:

— Patrzyłem przez dziurkę od klucza.

— Nie może być?... I cóż wuj widział?

Wuj uśmiechnął się.

— Nie wyobrazisz sobie tego, mój drogi, rzekł. Widziałem kobietę młodą i jak się zdawało piękną: siedziała przy stoliku pod oknem, i zakrywszy twarz rękami gorzko płakała. Wstrzymawszy oddech, patrzyłem i słuchałem. Płakała jeszcze czas pewien, potem uspokoiła się trochę, łkania ustały, przesilenie minęło. Opuściła ręce, otarła oczy i pozostała nieruchoma i zamyślona. Bardzo mię ujęła jej piękność i bladość. Ubrana była z wytworną prostotą; widocznie jakaś pani. Ciekawość moja wzrastała. Co ta kobieta tu robi? I to sama? Przytem tak piękna, i dla czego tak cierpi? Domyślałem się romansu. Chciałbym ją pocieszyć, bo nie mogę znieść widoku płaczącej pięknej kobiety. I zacząłem gubić się w domysłach. Widocznie płacze z czyjegoś powodu. Musi być jakies dwunożne niegodziwe stworzenie dla którego te oczy bły-

szczą, te usta się uśmiechają, to łono się podnosi. I ten niegodziwiec skazuje ją na płacz tak gorzki? Gdyby ten łotr dostał mi się w ręce, miałżeby się zpyszna! Jeślibym ja był na jego miejscu, biedaczka pewnieby tak nie cierpiała.— I nie chciało mi się opuścić mojego stanowiska obserwacyjnego. Bo trzeba ci wiedzieć, jeśli jeszcze nie wiesz, że powłoka moja jest wprawdzie trochę zużyta, ale dusza w niej zawsze młodzieńcza. Przysięgam ci, że serce mi biło jak dwudziestoletniemu chłopcu. W pewnych okolicznościach mam szczęście czy też nieszczęście, jak wolisz, zapominać zupełnie o moim wieku. Przytem wiesz że należę do starej szkoły, i że za naszych czasów zuchwała śmiałość była w modzie... Słowem, po krótkiem wahaniu, powziąłem postanowienie...

— I co wuj zrobił?

— To czegobyś ty z pewnością nie umiał zrobić. Wyszedłem z mojej stancyi i zapukałem do drzwi pięknej nieznajomej.

— Jakto? Wuj z nią rozmawiał? spytał niespokojnie Ryszard.

— Ma się rozumieć. Nie przerywaj mi jednak i słuchaj w milczeniu. Tak więc zapukałem. Proszę wejść, odezwał się piękny głosik w którym były jeszcze łzy. Wszedłem, zamknąłem drzwi i ukłoniłem się nizko. (Wy młodzi, powinnibyście się tego nauczyć; w każdej sprawie z kobietami zawsze zaczynać należy od głębokiego uszanowania). Ona wstała zdumiona.— Pani, rzekłem, chciej mi wybaczyć niedyskrecyę. Spostrzegam że mój postępek jest zbyt śmiałym; jeśli jednak pani raczy łaskawie posłuchać mię przez minutę, nie wątpię że mi przebaczy. — Jak widzisz, przemówienie wstępne było wcale nie złe. W owej chwili, prawdę mówiąc, nie wiedziałem jeszcze czego chcia-

łem, ani po co tam zaszedłem; ale tymczasem przypatrzyłem się jej zbliska. Ona spojrzała na mnie bardziej jeszcze zdumiona i z pewną nieufnością spytała tonem nader poważnym: Czego pan sobie życzy? — Niczego, pani—odpowiedziałem z najmilszym na jaki zdobyć się mogłem uśmiechem— ale jak powiedziałem, błagam panię żebyś raczyła posłuchać mię przez chwilę. Ona tymczasem mierzyła mię wzrokiem od stóp do głowy.—Więc proszę mówić.—Przybyłem tu przed godziną i dziś wieczór odjadę. Nająłem stancyę obok pani i dla zabicia czasu czytałem lichą powieść, gdy nagle usłyszałem płacz kobiecy w tym pokoju. Słuchałem i poznałem że płacz był rzewny i z łkaniami. I nie mogąc się oprzeć jakiemuś wewnętrznemu popędowi, zerwałem się z krzesła, przyszedłem tu i zastukałem do drzwi. Teraz gdy zastaje panią samą, osmielam się zapytać, w czem mógłbym być jej użytecznym. Niewątpliwie wydam się pani bardzo niedyskretnym, ale raczy pani zważyć, że o nic nie proszę, lecz tylko ofiaruje moje usługi. Ona odpowiedziała z lodowatym chłodem: Dziękuję panu, nic nie potrzebuję i niczyich usług nie przyjmuję. Zresztą pan się omylił, to nie ja płakałam. Chciej pan odejść.—Nie chciałem dać za wygranę i szukałem na prędce odpowiedzi żeby dłużej pozostać, gdy ona dodała: Tak panie, proszę ztąd wyjść; ale przed odejściem dowiedz się pan, że nie dałam się zwieść i że nie wierzę ani jednemu słowu z tego coś pan powiedział. Nie poczuwa się nagle litości dla osoby której się nigdy w życiu nie widziało, i której płacz słyszy się w sąsiednim pokoju.— W takim razie obowiązany jestem złożyć pani podziękowanie, odpowiedziałem. Jeżeli pani nie wierzy, że w istocie bezinteressownie ofiarowałem swoje usługi,

znaczy to że pani przypuszcza iż szukam przygód, a w moim wieku nie często się mi to zdarza...

— Jesteś pan dowcipny, odrzekła; daremnie jednak udajesz pan, że nie rozumiesz tego com powiedziała.—Zaczynałem na prawdę nic nie rozumieć i odparłem: Przysięgam pani że w istocie nie rozumiem. Ona zbliżyła się do mnie i z twarzą ożywioną oburzeniem rzekła: Jeśliś pan nie zrozumiał, więc powiem jaśniej. Nie przyszedłeś tu we własnym interesie, ktoś cię nasłał, żebyś szpiegował moje kroki, zbadał moje myśli i zamiary, i może wywierał na mnie nacisk. Radzę panu odejść. Proszę mnie nie zmuszać do powtórzenia tego w groźniejszy sposób. Idź pan!— Tak więc moje przewidywania nie były mylne; napotkałem prawdziwy romans. I zaczynałem seryo zajmować się moją piękną nieznajomą. Prócz tego, lubo wchodząc obojętny byłem na to co mnie spotka, nie chciałem jednak uchodzić za kogo innego niż byłem w istocie. Sprawa stawała się poważną. Rzekłem tedy: Natychmiast odejdę, i raz jeszcze przepraszam; pozwoli mi pani jednak powiedzieć jedno słówko. Przysięgam, że nie mam zaszczytu znać pani i że to co powiedziałem jest prawdą. Chociaż należymy zapewne do tego samego towarzystwa, pani mnie nie zna bo w ostatnich latach ciągle podróżołem. Może być jednak, że moje nazwisko nie zupełnie jest pani obcem. Jestem hrabia Vanelli.— Nieznajoma drgnęła ze zdziwieniem tak mocnem, że nie mogłem go sobie wytłumaczyć. — Więc pan jest hrabia Vanelli, Jan Jakób Vanelli?—Zaczynałem być w domu; nie wiem czem się to dzieje, ale wszędzie mię znają.—Tak jest, do usług pani, odpowiedziałem kłaniając się. — Teraz z kolei ja się zdziwiłem, gdy ona zbliżyła się, podała mi rękę i zapytała: Hrabia Vanelli, wuj Ryszarda?... — Wuj Ryszarda, odpo-

wiedziałem z uśmiechem, bardziej niż kiedy do usług pani. Wprzód już domyśliłem się że tu chodzi o romans, teraz zaczynałem domyślać się kto jest jego bohaterem... A! rozbójniku nie siostrzeńcze, tak to się przygotowujesz do cichego szczęścia w stanie małżeńskim?

Ryszard kilka razy chciał przerwać opowiadanie wuja: teraz zaś poprzestał na odpowiedzeniu:

— Przysięgam ci wuju, że te przypuszczenia twoje są bezzasadne...

— Nie przysięgaj mój drogi, za nic ręczyć nie możemy. Ot lepiej wysłuchaj cierpliwie mojej historyi do końca.— Tak pani. odpowiedziałem. wuj Ryszarda. A teraz czy mogę zapytać, z kim mam zaszczyt rozmawiać? Ona odpowiedziała smutnie i zniżonym głosem: Jestem hrabina Alviano. To nazwisko zapewne powie panu wszystko. — Nie hrabino, odpowiedziałem; przepraszam, ale ono powiada mi tylko, że piękna osoba nosi piękne nazwisko.— Więc pan nic nie wiesz, nie wiesz dla czego tu jestem?— Doprawdy nie wiem, odpowiedziałem.—I wszedłeś pan tu dla tego tylko, żeś usłyszał płacz?— Jedynie dla tego; jak już mówiłem, pchnął mnie jakiś popęd nieprzeparty. Jeżeli jednak teraz tu pozostaję, to mam do tego tysiące powodów.—Nastało krótkie milczenie, podczas którego przyglądała mi się bacznie.— Ryszard jest moim przyjacielem, rzekła po chwili; czy mogę także liczyć na życzliwość wuja?—Na moje poświęcenie zupełne, odpowiedziałem ujmując i całując jej rękę.— Słowem, żeby skrócić to opowiadanie, powiem ci że w godzinę później siedzieliśmy obok siebie przy kominku, jak starzy przyjaciele, i że ona zwierzyła mi się ze wszystkiem lub prawie ze wszystkiem. Byłem nią zachwycony, mój drogi — to prawdziwa kobieta.

— I opowiedziała wujowi swoją historyę?

— A jakże. Pokrótce opowiedziała swoje życie i małżeństwo z Alvianem, jeżeli się nie mylę, z Emilem Alviano, synem jednego z moich najlepszych przyjaciół, biednego Alfreda który umarł na suchoty w Kadyxie. Kiedym znał Emila, był jeszcze w szkołach, ale to już wiele lat temu.

— Ten sam właśnie.

— Tem lepiej. Nie chciałem wyciągać hrabiny na słówka, tak jednak znam kobiety, że umiem zaufanie każdej z nich sobie zaskarbić; prócz tego hrabina cierpiała, była oddawna sama, i potrzebowała wylania swych uczuć, aby się jej zdawało że jest zrozumianą. Przekonałem ją, że może bezpiecznie we wszystkiem mi się zwierzyć, i zwolna zręcznie zgadując, podpowiadając jej i pomagając, dowiedziałem się wszystkiego.

— I wszystko wujowi wyznała?

— Tak mości panie, wszystko i może więcej niż tobie. Dodawałem jej otuchy, zachęcałem do nietracenia nadziei, doradzałem i w końcu pozyskałem zupełne jej zaufanie. Płakała jeszcze przy mnie i zostawiłem ją zapłakaną. Dalibóg, o małom się w niej nie zakochał, ale w porę przypomniałem sobie, że mam odgrywać rolę wuja. Nie uwierzysz jak mię zajęła. Jedliśmy razem obiad w jej pokoju; i daję ci słowo, że szczerze winszowałem sobie żem wpadł na gienialny pomysł patrzenia przez dziurkę od klucza i zastukania do drzwi obcych ludzi. Nie mówiąc już o tem, że zamiast spędzić pięć godzin na rozmyślaniach, nastręczyłem sobie milutkie spotkanie, i że miałem szczęście stać się pięknej pani na coś przydatnym, i trochę poznać twoje sprawki, człowieku tajemniczy!...

— Więc mówiła wujowi o mnie?—spytał Ryszard z uśmiechem.

— Mówiła—i nawet bardzo wiele. Przedewszystkiem jednak powiedz mi, więc to tą panią, jak mówiono, bardzoś się w roku zeszłym zajmował?

— Tą samą.

— Przyjj moje powinszowania. Owóż mówiła mi o tobie zaledwie napomykając o przeszłości; wtedy spytałem jej kiedy cię widziała. Po bardzo długiem niewidzeniu, wczoraj po raz pierwszy, odpowiedziała.—Wtedy nagle błysnęło mi to, o czem prawie zapomniałem; żem cię widział poprzedniego dnia jak wysiadałeś na stacyi. I zrozumiałem żeś nie był roztargniony.— Wczoraj był u mnie na obiedzie, siedział w tem samem miejscu gdzie pan teraz.—O! O! zawołałem, czy być może? I snuły mi się po głowie różne myśli z tego powodu.— A tak, mówiła dalej; Ryszard jest prawdziwie dobrym; w smutnej samotności mojej o nim tylko myślałam, i mimo żem dużo względem niego zawiniła, ośmieliłam się do niego udać, i z radością powiadam, żem się nie omyliła. Przybył do mnie, pocieszał, ofiarował mi wszelką pomoc; ale ani on ani kto bądź inny nic dla mnie zrobić nie może. Mnie potrzeba było widzieć go, ścisnąć jego rękę i usłyszeć z jego ust przebaczenie. I powiadam panu, że za to będę przez całe życie wdzięczną Ryszardowi.

— Daję ci słowo — kończył stary kawaler swoje opowiadanie — ta kobieta mnie rozczulała, czułem dla niej wielką litość. Mówiliśmy długo o tobie, ale wymogła na mnie obietnicę że ci tego nie powtórzę, i jak widzisz dotrzymuję obietnicy. Wkońcu odjechałem, rozstaliśmy się jak starzy przyjaciele, prosiłem o pozwolenie ponowienia moich odwiedzin i wróciłem tu. I przebiegając myślą tę

moją przygodę, poczytałem sobie za prawdziwe szczęście to, że nie zastałem margrabiny Bolgarini w jej zamku.

— Teraz kiedym cierpliwie wysłuchał wszystkiego do końca, czy wuj pozwoli mi się usprawiedliwić? spytał Ryszard.

— Ależ mój drogi, nie masz się z czego usprawiedliwiać!

— Owszem wuju, mam, i pokażę ci zaraz, jak niestosowne były twoje żarciki z roztargnienia w którem zamiast do Mantino udałem się do P. Najlepszy dowód masz w słowach samej hrabiny. Czuję dla niej tylko przyjaźń, której odemnie żądała i której odmówić nie mogłem, a zgodziłem się być jej przyjacielem właśnie dla tego, że jestem zupełnie uleczony z dawnej namiętności. Kocham tylko pannę Konstancyę Gerardi, ona przedstawia dla mnie przyszłość całą; ale pomimo to nie mogłem nie stawić się na wezwanie hrabiny wysłane do mnie w okolicznościach w jakich teraz pozostaje. Sam pierwszy, wuju, to przyznasz.

— Ma się rozumieć, że przyznam. Czy jednakże byłoby przyjemnie pannie Konstancyi, gdyby się dowiedziała o twojej wycieczce do P.?

— O, wuju, nie oczekiwałem po tobie takiego pytania! Jestto drobnostka bez znaczenia.

— Więc zadam ci drugie pytanie. Czy sądzisz, że już nie wrócisz do P.?

— Jestem tego pewny.

— I jabym chciał być pewnym, ale założę się o moją głowę, że wrócisz. Gadaj to zdrów komu innemu! Ależ mój drogi, lubo serce twoje jest całe w Mantino, to jednak samej już próżności musi pochlebiać, że jest kobieta co widzi w tobie jedyną deszczułkę swego ocalenia.

— Ba!... Przywidzenie wuja.

— Ona mi to wyraźnie powiedziała.

— Co powiedziała?

— Wiesz dobrze, że nie potrzeba koniecznie mówić żeby takie rzeczy wyrazić. Nie zmuszaj mnie do niedyskrecyi.

— Nie bardzo temu wszystkiemu wierzę, rzekł śmiejąc się Ryszard, a w każdym razie nic mię to nie obchodzi. Za tydzień ożenię się z Konstancyą i pojadę.

— W takim razie jeśliby hrabina potrzebowała twej pomocy, tobyś odmówił?

— Nie mógłbym być jej pomocnym.

— Tym lepiej. Wybornie się to zgadza z moim planem. Ty, czując powołanie do stanu małżeńskiego, ożenisz się, a już ci mówiłem, że się temu nie sprzeciwiam. Ja zaś, jako kawaler zajmę się hrabiną i zrobię dla niej wszystko co będzie w mojej mocy.

— A cóż wuj może zrobić?

— Zbytek ciekawości; bardzo wiele mogę zrobić, ale to moja tajemnica.

— I wuj odwiedzi ją jeszcze?

— Odwiedzę. Czyżbyś był zazdrosnym? To zawiele dla mnie zaszczytu.

— O bynajmniej, bynajmniej, zapewniam wuja. Cóż to mnie obchodzi?

— Ech! Ma się rozumieć, że nie powinno cię obchodzić; owszem, będziesz mi wdzięcznym, jak się spodziewam, za to, że pomagam ci w spełnieniu twych życzeń i że sprawy twoje biorę w swoje ręce, lubo czynię to z wielką przyjemnością. A w dodatku, skoro zabawię tu dłużej niż sądziłem, wracam ci wolność; jedź sobie do Mantino i odwiedzaj mnie wtedy tylko gdy ci czas pozwo-

li; wiem przecie co to być zakochanym! Ale—poraz ostatni muszę ci zadać jedno bardzo poważne pytanie.

— Jakie wuju?

— Czy twoje postanowienie naprawdę jest niezachwiane i nieodwołalne?

— O tak, nie mógłbym inaczej być szczęśliwym!

I młody margrabia mówił prawdę, i teraz czuł to mocniej niż kiedykolwiek.

I natychmiast skorzystał z pozwolenia, i zaledwie wróciwszy do Mantino, poszedł zaraz do Konstancyi i zastał ją smutniejszą jeszcze niż przy odjeździe. Melancholia zimy ciążyła jej na duszy. Prócz tego w tych dniach żyła prawie samotnie, bo pan Antoni pojechał na czas pewien do miasta, a matka trochę chora nie wychodziła ze swego pokoju.

Malarz starał się namówić Konstancyę, żeby odłożyła ślub aż do jego powrotu, i panna mniej się tej zwłoce opierała niż Ryszard, owszem zgodziła się na nią chętnie, bo znowu dawne trwogi oblegały jej duszę. Zdawało jej się, że rozpoczynać idealnie szczęśliwego życia które miała wieść z Ryszardem nie należało, dopóki trwałe zaufanie nie zapełni całej jej duszy.

A wyznać trzeba, że w sercu Ryszarda nie panowała taka jak niedawno jeszcze miła spokojność i cisza zupełna. Jego wizyta u hrabiny i łzy tej kobiety wykryły w niej uczucia do których nie sądził ją zdolną, a może bardziej jeszcze zaniepokoiły go niektóre przelotne słowa w opowiadaniu wuja. I bardziej niż kiedy pojmował, że należy jak najprędzej schronić się w porcie czystej miłości, w której jednej, jak o tem nie wątpił, jest szczęśliwość prawdziwa; i niecierpliwiej niż kiedy wyglądał dnia ślubu i wyjazdu z Konstancyą.

Konstancya przedstawiała mu jednak dobre powody zwłoki: chorobę matki, nieobecność stryja i swój smutek chwilowy który chciała zupełnie wprzód rozproszyć. Mógłże Ryszard stawić przeciw temu ową jedyną pobudkę, która zwyciężała wszystkie inne, ale która, gdyby była znaną, zamiast przyśpieszyć ślub, możeby wszystko między niemi zerwała?

— Poczekajmy, mówiła Konstancya, niech się znowu zbliżą piękne dni w których zabraliśmy z sobą znajomość. Zupełne zaufanie wróci do mojego serca, mama zawsze cierpiąca w zimie, przyjdzie do zdrowia, stryj będzie z nami... Teraz mam złe przeczucia, pozwól pan niech się wprzód rozproszą.

Ryszard nie wiedział jak się opierać i musiał uledz jej prośbom. Sprawiało mu to jednak wielką przykrość; młody człowiek wiedział, że bywają choroby lekkie które znikają przy rychłem zażyciu energicznych leków, ale które zaniedbane wzmagają się coraz szybciej; z każdym dniem upłynionym choroby te powiększają się, ogarniają cały organizm i w końcu stają się nieuleczonemi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KONSTANCYA GERARDI

mydła
serwis
tortownica
kneidli
Jan dał [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]
[illegible]
[illegible]
garnek
drewniane
zestaw [illegible]